Nr. 52. Poznań, niedziela 29-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

Przyczynek do charakterystyki demokracyi socyalnej w Niemczech.

Po smutnych doświadczeniach 1870 r. Francuzi nauczyli się cenić zasadę, że trzeba wroga poznać dokładnie, chcąc go zwyciężyć. Poczęto bliżej przypatrywać się wschodnim sąsiadom, studyować ich urządzenia, ich kraj i ludzi, ich wojsko, sądownictwo i stosunki partyjne. W ostatnich mianowicie latach ukazała się wielka obfitość broszur, dzieł i artykułów, poświęconych państwu niemieckiemu, a niektóre z tych publikacyi odznaczają się istotnie wielkim zmysłem spostrzegawczym i obszernym materyałem informacyjnym.

W najświeższym czasie pojawił się w berlińskiem czasopiśmie „Nation“ artykuł Jana Bourdeau o niemieckiej demokracyi socyalnej, zasługujący z wielu względów na bliższą uwagę. Ujęty w feljetonowe ramy „Listu do redaktora“ zawiera on nie mało interesujących spostrzeżeń, a zaciekawić musi już przez wzgląd na samego autora, kroczącego na czele tych publicystów francuzkich, którzy lat wiele strawili nad badaniem społeczno-politycznych stosunków państwa niemieckiego. Pan Bourdeau przypatrywał się pilnie socyalizmowi niemieckiemu, a powróciwszy z wrocławskiego wiecu, zakomunikował spostrzeżenia swoje redaktorowi „Nation“ w liście następującym:

„Życzyłeś sobie, Szanowny Panie, abym się podzielił z tobą wrażeniami z wrocławskiego wiecu socyalnej demokracyi. Posiadam znacznie mniej kwalifikacyi od Pana, by sąd wydawać o socyalistycznym ruchu w Niemczech i nie roszczę sobie bynajmniej pretensyi, bym mógł Pana informować w takiej kwestyi, którą znasz dokładniej odemnie. Cudzoziemiec jednak pojmuje nieraz jaśniej znamienna szczegóły, porównując fakta obserwowane z położeniem rzeczy we własnej ojczyźnie?

Jakiż to obszar zajęły podczas lat ostatnich kwestye społeczne w polityce? Tak w Niemczech jak we Francyi wysunęły się one na pierwszy plan; rozprawiają o nich w salonach, w uniwersytetach, w teatrach, w gawędach kobiet z młodymi ludźmi, podobnie jak w ubiegłem stuleciu cieszyły się reformatorskie idee szczególną sympatyą tej właśnie klasy ludności, która pierwsza paść miała ofiarą tych idei. Widziałem w Berlinie „Don Carlosa“ i „Tkaczy“. Dwa te utwory ujawniły mi wyraźnie kontrast między oświeconym despotyzmem markiza Pozy, przyświecającym jako ideał ubiegłemu stuleciu, a socyalną demokracyą Karola Marksa, która dziś modą się stała.

Kto nie uwzględni żywego środowiska, z którego wyrósł socyalizm, ten źle go pojmuje. Socyalistyczne teorye wypłynęły w znacznej mierze z uczuć, a uczucia z wrażeń przeżytych. Łatwiej było dla szlachcica przeszłego wieku żyć w ideowym zakresie burżuazyi, niż dla *bourgeois* naszego wieku zrozumieć, co myślą robotnicy, gdyż między nimi a jego poglądami nie tylko istnieje różnica stopnia, lecz kontrast naturalny. Społeczeństwo obserwowane z góry na dół lub z dołu do góry wygląda zupełnie inaczej niż się wydaje inteligentnym stanom średnim, żyjącym w wygodnych warunkach życiowych. W takich okolicznościach z rozmaitych metod poznania klas niższych jest mojem zdaniem ta najlepszą, którą obrał wasz pastor Göhre, żyjąc trzy miesiące wśród robotników fabrycznych. Można powątpiewać, czy czas ten wystarcza dla eksperymentu jego. Przypatrywał on się jednak nagim faktom, a widok warsztatu, strejku, kongresu poucza lepiej o kwestyach socyalistycznych niż uczona rozprawa. Dodam tu, że socyaliści, zyskują przy osobistem poznaniu. Nie można wprawdzie bezwzględnie czuć dla nich sympatyi, ale nie można również tego zapoznać, że coś innego — niż masa ciemnych egzystencyi — stoi przed nami. Posiadają oni zalety i wady reszty ludzkości i z małym waryantem mogą razem z *Shylockiem* powtórzyć: „Czyż socyalista nie ma rąk, nie ma zmysłów, nie ma upodobań, nie ma namiętności? A jeżeli nas gnębicie, czyż mścić się nie mamy?“ Nasz interes polega na tem, by ich poznać, — nie, by ich wyśmiewać.

Już w pierwszym dniu mego przybycia do Wrocławia poznałem socyalistyczną solidarność. Opuściłem hotel „Pod złotą gęsią“, by poszukać dorożki. Dosyć ubogo ubrany człowiek, który słyszał, jak pytałem o mieszkanie jednego z wrocławskich socyalistów, zbliża się szybko do mnie i mówi: „Pan szuka towarzysza X. i może sam jesteś towarzyszem. Nie wydawaj Pan dwie marki na dorożkę, ja Cię zaprowadzę do tramwaju.“ Dotrzymał przyrzeczenia i polecił mnie nadto konduktorowi. Po drodze powiedział mi, że jest pomocnikiem księgarskim. W dzień kongresu, w niedzielę, spotkałem go w pięknym paletocie na jedwabiu i wśród innych okoliczności byłbym niewątpliwie tego „pierwszego chrześcijanina“ uważał za eleganckiego *bourgeois*.

Wasi socyaliści wyglądają dziwnie z mieszczańska. Moja pierwsza myśl, gdy wstąpiłem na salę kongresu, była: Czy nie są to *bourgeois?* Później dowiedziałem się, że w r. 1889, na kongresie w Paryżu tak zadziwiły naszych paryzkich robotników mieszczańskie formy niemieckich socyalistów, że początkowo wahali się uważać ich za braci, i dopiero wtedy, gdy dzięki usiłowaniom tłomaczów, przekonali się, że każdy na wskroś rozumie technikę swego rzemiosła, że zatem np. ci, którzy przedstawili się za kapeluszników, umieli powiedzieć jak się robi kapelusz, — dopiero wtedy, powtarzam, szli ramię w ramię do knajpy.

I w Wrocławiu wydarzyło się kilka wesołych nieporozumień. Spostrzegłem jakiegoś młodego delegata, którego ubiór był bardzo zaniedbany. Nosił koszulę flanelową,

bez krawaty, tylko sznurkami związaną; ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że jest on jednym z najznaczniejszych kapitalistów kongresu, zięciem bogatego bankiera i profesora przy uniwersytecie. Inny młodzieńczy delegat, zapięty aż pod szyję, z złotemi okularami, o łagodnych i skromnych manierach wywarł na mnie wrażenie kandydata teologii. Gdy socyaliści powrócili z mogiły Lassalle'a, na której wieńce złożyli, mówiłem z nim o tem, w jak wysokim stopniu ten twórca socyalnej demokracyi był hulaką i komedyantem. „To prawda — odpowiedział mi — ale mamy też innych ludzi w stronnictwie“ I wymienił mi nazwisko jednego z posłów socyalistycznych, który cierpiał na suchoty i w poświęceniu dla sprawy ludu znalazł grób przedwczesny. „Nie jestże to pięknem?“ dodał. Innnego dnia rozmawiałem z małym rudobrodym krawcem; przechodził jakiś „pan doktor“, delegat kongresowy i wtedy to widziałem, jak nizkim ukłonem witał krawiec kolegę swojego; oprócz tego opowiadał mi wiele o Liebknechcie, o jego życiu skromnem i małych potrzebach, a słowa jego przekonały mnie o nimbie, którym ten stary wódz w stronnictwie swojem jest otoczonym. Inny socyalista widział się zniewolonym pokazać mi swoje ręce grube i odcisków pełne, by mnie przekonać, że jest robotnikiem okrętowym. Zapewniał on mnie, że przeczytał Marxa „Kapitał“ od deski do deski i wierzyłem mu na słowo. Mówił też, że gdyby rewolucya na nowo wybuchła, to robotnicy nie wyciągaliby znowu kasztanów z ognia dla panów *bourgeois*. Nie spotkałem wśród delegatów robotniczych żadnego prawdziwego fanatyka. Stronnictwo składa się widocznie z lepszych robotników i postanowiło nie ręce, ale głowy rewolucyonizować, natomiast proletaryat uliczny trzymać jak najdalej od siebie.

Swój sztab generalny rekrutuje niemiecki socyalizm — o ile się zdaje — z wszystkich klas społeczeństwa: z kół uniwersyteckich, z kupieckiego obywatelstwa, z arystokracyi i i. d. Uderzyły mnie wśród członków kongresu trzy warstwy, różniące się znacznie między sobą w sposobie życia. Niektórzy uczęszczali do najlepszych restauracyi i hotelów w mieście; widziałem kilku siedzących wieczorem przy szampanie z lodu; jeden skarżył się nazajutrz na „Katzenjammer“. Spotkałem też po debacie agrarnej jednego ze zwyciężonych, szukającego zapomnienia kłopotów w uczcie wesołej. Zapewniał mnie nader żywo, że w roku przyszłym odwet swój znajdzie w Gocie. Był to akademik, jak wielu innych uczestników kongresu, młodzieniec, zachowujący zwyczaje studenckiego życia. Wszyscy ci „panowie doktorzy“ byli dla mnie bardzo uprzejmi mimo moich „herezyi“ i gawędziliśmy nieraz przy śniadaniu w najlepszych humorach. Większość kongresowiczów natomiast żyła więcej z mieszczańska. Najubożsi kontentowali się obiadem w gospodzie, kosztującym nie więcej jak 50 fenygów, a zaprawionym żarcikami z kelnerką.

W końcu, nie paląc, częstowali się prymką. Bynajmniej nie mówię o tem wszystkiem z ironią, raczej z zadowoleniem spostrzegam, że socyaliści nie są purytanami oddanymi ponurej askezie. Pożądają tylko odpowiedniego udziału w rozkoszach tego świata; obecnych stosunków społecznych nie chcą przewracać na nice, pragnęliby je tylko według swojej miary przykroić.

Przed wyjazdem do Wrocławia byłem na kongresie socyalistycznym w Limoges, złożonym wyłącznie z robotników. Ci francuzcy socyaliści tak się upili fanatyzmem równości, że dwa razy dziennie zmieniali przewodniczącego, oczywiście z obawy, żeby jednostka nie uzyskała za wiele wpływu, albo w opinii publicznej nie nabrała nadto rozgłosu. Nie pewiem, żeby kongres w L i m o g e s na tej procedurze zyskał.

We Wrocławiu natomiast zdumiony byłem, z jaką powagą p. Singer, stały prezydent kongresów socyalno-demokratycznych kierował obradami.

Jeden z towarzyszów publicznie tam utyskiwał, że milionerów z partyi socyalistycznej otacza się za wielkim nimbem; ale skarga jego przebrzmiała bez echa.

Ton przemówień był bardzo umiarkowanym; tylko w sprzeczce między Beblem a Schipplem padł nieparlamentarny wyraz „szarlatanerya“. Mniej oględnie wyrażały się kobiety-delegatki na wrocławskim kongresie. Jedna z nich rozwijała ultra-rewolucyjne teorye z krzyczącem gadulstwem, inna była powściągliwszą, lecz mimo to niezwykle gwałtowną. Słuchacze ich wywodami więcej się bawili, niż wzruszali. Jeden z najwybitniejszych członków partyi wobec mnie z żalem oświadczył, że inaczej przedstawiał sobie emancypacyę kobiet; „lepiej, żeby kobiety wcale niemówiły“; nie mile też dotknęło, że dwie kobiety na kongresie nosiły krótkie włosy. Mówcy wyrażali się wogóle prosto i jasno, nie używając retorycznych frazesów. Bebel wykładał na publicznem zebraniu teoryę Marxa o ewolucyi ekonomicznej, która niechybnie prowadzi do kolektywistycznego porządku społecznego. Krótko przedtem słyszałem we Francyi francuskiego Bebla, deputowanego Jaures, mówiącego na podobny temat, bo katechizm socyalistyczny jest wszędzie jednaki. Różnica polegała na tem, że Jaures mówił w pięknych obrazach, a Bebel przytaczał cyfry, stwierdzające pomnażanie maszyn, ciągły wzrost proletaryatu itd. Oczywiście proroctwa co do przyszłego ukształtowania się świata, wydały mi się równie złudne na fundamencie statystyki, jak na fundamencie retoryki.

Sprawa agrarna, tak obszernie traktowana na kongresie wrocławskim, w równym stopniu zajmuje kongresy francuskie. Chodzi o to, żeby po osiągniętych już sukcesach we wielkich miastach, zdobyć ludność wiejską. Ale teorye kolektywistyczne, które zupełnie przystały do pojęć robotników wiel-

---

H. Ceysinger.

Sen artysty.

— Słuchaj, przestań ty już raz rzępolić. Co za człowiek! Od godziny wygrywa ci tę jakąś dziadowską sonatę.

— Spytajcie go, na jakim odpuście on się tego nauczył!

— Mistrzu przez szacunek dla twojej przyszłej sławy!

— Przez szacunek dla sztuki!

— Dajcie mu pić, już go znam...

— Tak, tak. Dajcie mu pić. Nic na tę artystyczną naturę nie wpływa tak kojąco jak trunek.

Obskoczyli mnie dokoła z kieliszkami w rękach, i przemocą oderwali od fortepianu. Mam zwyczaj nie oponować nigdy tak energicznie się wyrażającej woli większości. Brałem więc po kolei z rąk każdego z nich wyciągnięty ku mnie kieliszek, i spełniałem do dna. A gdy ten akt pokory i uległości z mej strony dokonany został, weseli moi towarzysze ujęli mnie pod ręce i poprowadzili do stołu, przy którym uroczystemi obrzędami, w ściśle zamkniętem kole święcić mieliśmy dwudziestopiątą rocznicę mojego przyjścia na świat. W symbolice obrzędu najważniejszą rolę grały, rozumie się, kieliszki i butelki — puchary i amfory — jak wyrażał się jeden z obecnych, chorujący zresztą na manią pisarską.

— Bierz puchar, przyjacielu! — mówił do mnie. — Spełnimy go za twoją pomyślność. Obyś grał zawsze, tylko nie wtedy, kiedy przyjaciele chcą pić z tobą.

Hałaśliwe toasty sypnęły się jeden po drugim.

— Czy nie mógłbyś powiedzieć mi, czyj był ten potworny płód natchnienia, ta okropność muzyczna, ktorą torturowałeś mnie przez godzinę?

— Czyj? To było moje.

— Aha! Koledzy złóżmy mu naszą zbiorową kondolencyą.

— Daj mi pokój, co ty się na tem znasz!

— Ja się nie znam, ale inni powiedzą ci to samo. Pytaj.

— Nie przypominajcie mu lepiej. Patrzcie, jakie ma oczy zamglone, jak zwykle, gdy go muzyka opęta. Gotów znowu zacząć grać.

— Ciebie jednego pytam, czy i tobie ten kawałek się nie podoba.

— A przyznam ci się, że nie słuchałem, Władek tyle plótł tymczasem. Z tego jednak, co mi dolatywało do uszu, zdaje mi się, że to dziwactwo jakieś, coś dzikiego. Gdzieś to pochwycił?

— Widzisz, to było w Bretanii...

— Bretanii! — ozwał się cały chór. — Dosyć! Nie chcemy słyszeć nic więcej. Zdrowie twoje!

I znowu zahuczały toasty, podniosły się śmiechy, okrzyki, wrzawa.

— Widzisz, nie wschłuchałeś się dobrze — usiłowałem tymczasem przekonać jedynego w towarzystwie znawcę. — Opowiem ci jak to powstało. Nad morzem...

— Daj pokój. Lepiej trąćmy puchary.

— Ale posłuchaj, przecież ty poetą jesteś podobno — mówiłem błagalnym głosem, bo spełniane jeden za drugim puchary nastroiły mnie dziwnie na miękki, melancholijny ton — powinieneś to zrozumieć, odczuć...

— Pij bracie! — odpowiedział mi na to — Pij i nie mów nic. Muzykus każdy źle robi, jak zaczyna mówić.

Ha, więc piłem, a raczej piliśmy. Amfory wypróżniały się jedna za drugą. Poeta nasz wpadł w liryzm, i całując nas wszystkich zapewniał ze łzami, że co do niego, on nie ma najmniejszego talentu, że za to ja jestem duszą wielką, twórczą, artystyczną, jak tego dowodzi ten prześliczny urywek, grany przezemnie przed chwilą.

— Klękam przed tobą — mówił, usiłując naprożno zamienić słowo w czyn.

Wszystkim nam potężnie szumiało w głowach Ktoś zanucił jedną ze znanych powszechnie piosenek. Pochwycili ją inni, i zerwała się burza młodzieńczych głosów, silna, nieokiełznana.

Jedną po drugiej, przypominano sobie najrozmaitsze melodye, śpiew płynął i w ciszy nocnej rozchodził się daleko. Mnie tylko melodyi śpiewającemi nie było. Mnie w uszach szumiała jeszcze wciąż tamta, wzgardzona, obca, sieroca piosenka. Taka była dzika, taka smutna — i z takiej jak mi się wydawało niezmiernej dali czasów szła ku mnie.

Powoli słabły głosy i milkł śpiew. Wreszcie rozeszli się wszyscy. Pozostały po nich tylko jakby echa poplątanych słów, śmiechów, okrzyków. Byłem znów sam, sam z moją pieśnią.

Usłyszałem ją pierwszy raz w Bretanii, w Bretanii mglistej, melancholijnej, cichej. Codzień przed wieczorem wychodziłem nad

kiego przemysłu, nie trafiają do przekonania chłopów; w rzeczy samej poglądy chłopów stanowią raczej kontrast. Francuscy Marksiści uniknęli tych trudności, układając dwa programy, jeden dla miast, drugi dla wsi. Będąc przeciwnikami własności prywatnej, apostołują po wsiach różnicę między wielką a małą własnością; ten brak logiki słusznie wytyka im Engels.

Niemcy postępują sumienniej: kiedy obradowano we Wrocławiu nad programem agrarnym, stawili Marksiści pytanie, czy program agrarny zgadza się we wszystkich punktach z ewangelią „Kapitału“ i komunistycznego manifestu. I zwycięstwo zostało przy nich. „Nie chcemy — mówili oni — powstrzymywać ewolucyi, wiodącej drobną własność do ruiny“. Jak czystej krwi Manchesterczycy głosili politykę laisserfairyzmu!

Na tego rodzaju kongresach plączą się oczywiście nieraz kwestye zasadnicze z kwestyami osób. I nie może być inaczej, bo abstrakcyjne idee mają swoich rywalizujących nie pozbawionych egoizmu przedstawicieli. Nie uwzględniając tego, trudno byłoby nieraz zrozumieć głosowania pewne. Dla czego umiarkowany socyalista X. głosował zgodnie z najczerwieńszymi? „Bo głosuje zawsze przeciw towarzyszowi Y.“ — odpowiedziano mi. Inny znowu, urażony dyktatorskim tonem jednego z przewodników, tak do mnie mówił: „Mamy wiele szacunku dla niego, ale musimy mu przecież pokazać, że posiadamy własne przekonania“. Zauważyłem, że we Francyi delegaci od swoich wyborców otrzymują zwykle t. zw. „*mandat impératif*“. „My nie przyjęlibyśmy takiego mandatu“ — odparł delegat niemiecki.

Mimo tych znacznych różnic między jednostkami tworzy partya socyalno-demokratyczna w Niemczech związek o dyscyplinie żelaznej. We Francyi rozpadają się socyaliścina rozmaite niezawisłe odłamy, noszące nazwy swoich przewodników: blankiści, broussyści, alemaniści, guesdyści. Każdy z tych odłamów ma odrębną organizacyę i taktykę, i walczy na swoją rękę z obecnym porządkiem społecznym. „Gdyby Guesdyści doszli do władzy“, — mówił do mnie raz alemanista pewien, — „toby nas zaprowadzili na gilotynę“. Innym razem słyszałem jak pewien guesdysta nazywał alemanistów pogardliwie „*manuelards*“ (rękodzielnik), w przeciwieństwie do guesdystów, uważających siebie za „pracujących głową“. Ale mimo tego rozłamu i mimo swej stosunkowo małej liczby — we Francyi jest 600,000, w Niemczech około 1,800,000 wyborców socyalistycznych, — mają socyaliści francuzcy wskutek wielorakich stosunków z radykałami większy wpływ polityczny, i opanowali na mocy ogólnego prawa, głosowania zarządy gminne. W Niemczech składa się socyalno-demokratyczna partya z głównie radykalniejszych żywiołów mieszczańskich i z robotników, i jest zbiornikiem wszelkich malkontentów, których liczba powiększyłaby się niewątpliwie z chwilą, gdyby poważne niebezpieczeństwo zagrażało polityczno-społecznym swobodom. Wy tam w Niemczech macie przestarzałe urządzenia polityczne i wyrobiony zmysł krytyczny, lecz naród niemiecki jest cierpliwszy od francuzkiego“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Krakowska młodzież akademicka. Pod takim tytułem ukazał się w „Kuryerze Lwowskim“ artykuł następujący:

„Gdzie się podziała nasza młodzież akademicka?“ — oto pytanie, które obecnie bardzo często słyszeć sie daje w Krakowie. Stawiają je przedewszystkiem ci, którzy przed laty na uniwersytet krakowski uczęszczali i pamiętają świetne czasy akademików krakowskich. Młodzież żyła. Uczyła się, trochę politykowała w swojem kółku i bawiła się. Dzisiaj od czasów smutnej pamięci rektorstwa prof. Korczyńskiego, kiedy to na życzenie i wezwanie senatu akademickiego policya krakowska nad młodzieżą swą władze i opiekę rozciągnęła, gdy zaczęto młodzież gnębić rewizyami, prześladowaniem i szykanami, gdy każdego goretszego nieco młodzieńca ogłoszono „socyalista“ i „Polizei“ zaczęto wołać — obumarł, — można powiedzieć — duch młodzieńczy wśród młodzieży; zmaltretowana i zgnębiona przestała się bawić, politykować, a czy sie cieszy? — nie wiadomo, Stańczyki zatarli rece z radości — dzieło dokonane; młodzież bezsilna. Ogarnął ją duch zniechęcenia i apatyi i przechodzi z roku na rok ze starszych na młodszych. Rozchodziło sie stańczykom o wypuszczenie gorącej krwi z żył młodzieży, o wytępienie wśród niej ideałów, o zgaszenie miłości ojczyzny — i niestety — po części udało im sie dokonać dzieła. Będą też kiedyś zbierać owoce swej pracy. Część młodzieży akademickiej w Krakowie prześcignęła w steсznictwie swoich profesorów. Rośnie falanga gasicieli ducha, serwilistów i lokajów których ideałem życia i dążności: gwiazdka, kołnierz lichem złotem szamerowany i order.

Dość długi czas po rozwiązaniu Czytelni akademickiej młodzież wogóle żadnego znaku życia nie dawała. Wszystko spało. Był czas, iż się zdawało. że w Krakowie nie ma uniwersytetu. Dopiero niedawno ocknęła się grupa młodzieży postępowszej i wstydząc się stanu apatyi, ogarniającej ogół, a prowadzącej powoli, niepostrzeżenie do upodlenia, postanowiła dać znak życia. A mając już dość rodzicielskich rządów senatu akademickiego, postanowiono nie zakładać Czytelni, lecz utworzono po za władzą uniwersytecką „Zjednoczenie“. Tutaj skupiły się wszystkie zdrowsze żywioły wyższych szkół krakowskich. Reszta młodzieży pozostała dalej w dawnej apatyi, część tylko skupiła sie w czysto klubowych bezbarwnych „kółkach“ medyków i prawników. Nowa ta organizacya, rozpraszająca siły, pozostaje naturalnie w tyle po za dawną Czytelnią, którą prawdopodobnie na długo pogrzebano.

Na tem tle ogólnej apatyi jednakże w ostatnich czasach zaszły dwa wypadki, które poruszyły nawet najospalszych i można je uważać za przewodników lepszych czasów. Pierwszym były wybory zarządu „Pomocy bratniej“, jedynego obecnie towarzystwa akademickiego, skupiającego ogół słuchaczy uniwersytetu. Walka stronnictw, ścieranie się zasad i dążności, straciwszy swój naturalny grunt, jaki stanowiła Czytelnia, przeniosły się do „Pomocy bratniej“. Wynik wyborów przyniósł klęskę młodzieży stańczykowskiej. świetne zwycięstwo odniosła młodzież polska postępowa. Młodzież, której przy każdej sposobności kneblują usta, tutaj przynajmniaj chciała dać wyraz swoim zapatrywaniom, a tem samem zacząć praco-

---

brzeg morza i patrzyłem jak fala jego rozbija się o białe przybrzeżne skały. Aż jednego razu, gdym tak stał pod tchnieniem wichru morskiego, wydało mi się, że słyszę jakąś smętną dziwaczną melodyę. Zaczynały ją niby żałosnym krzykiem mewy, których stada skrzydlate wirowały nad skałami, potem tym mewom białym porykiem fal, głuchym, głębokim porykiem odpowiadało morze, potem nagle wicher zaśpiewał jakąś straszną, przeciągłą skargę, jakby jakies wołanie o pomoc, któremu fale oceanu odpowiedziały z dala: oto idziemy. I powtarzało się to kilka razy. Wicher wył, szamotał się, zrywał, a fala basowym tonem huczała groźna. Od czasu do czasu odzywał się żałosny płacz białoskrzydlatych mew. I była w tem wszystkiem jakaś melodya ogromna, dzika, urywana, taka żałosna, taka jakaś szczególna, jakiej nie słyszałem nigdy.

Od tego wieczora, spędzonego nad brzegiem morza, chodziła za mną ta pieśń dziwaczna dzień cały, dźwięczała mi w uszach i prosiła się: weź mnie.

Więc wziąłem ją. Jak inni odłamek skały lub kwiatek, tak ja ją zabrałem sobie na pamiątkę.

Ile razy potem zagrałem ją, przed oczami wstawały mi zaraz białe skały nadbrzeżne i mewy skrzydlate, daleki przestwór oceanu i smutne barwy jesiennego wieczoru Bretanii. Dziś po raz pierwszy pozwoliłem jej zadźwięczeć przy ludziach, i ludzie obrzucili ją urągowiskiem, słuchać nie chcieli. Kto ty jesteś piosenko-sieroto? Kładę ręce na fortepianie, melodya twoja, melodya mórz, wichrów jesiennych i mew płynie mi z pod palców. Oto znowu jak wtedy płaczem zanoszą się mewy, basowym tonem odpowiada fala, wicher zrywa się i szumi przeciągle... To już nie ja gram, to przyroda. Bretania gra sama... w powietrzu tak szaro, tak mglisto... a pieśń dźwięczy i dziwnym wojowniczym rytmem się łamie... jak tu mglisto, jak dziwnie... widma jakieś wstają dokoła... to pieśń ta stara zamarły jakiś świat wywołała z mogiły. Co za postacie? Tuż przedemną, człowiek czy cień? Olbrzym-wojownik stoi, skórą zwierzęcą okryty, nagim ramieniem o maczugę drewnianą się oparł i słucha pieśni... oczy żarem mu płoną, pierś się podnosi... potrząsa głową, której włos długi, płowy spada mu na ramiona... za nim cieniów podobnych wstają zastępy... Co za perspektywa daleka otwiera się przed moim wzrokiem... błonia mgłami zasłane, a na nim wojowników dzikich gromady, a za nimi kobiety ich w długich białych osłonach niby mew morskich stada. Pieśń rytm wojenny przybiera, wojownicy podnoszą maczugi, ogień tryska im z oczu, pieśń przyspiesza tempo... Ruszyli pędem i zniknęli w szarych mgłach. Teraz tylko morze huczy z dala, kobiet białe postacie słaniają się po polu, i słychać długi, przeciągły lament mew.

Cisza.... nic już nie dźwięczy, i nie ma pola zasłanego mgłami, i wojowników tych ni niewiast ich nie ma. Siedzę na tem samem miejscu, gdzie zostawili mnie przyjaciele odchodząc. Nie grałem wcale. To sen był tylko. Sen... ale teraz już wiem, kto ty jesteś piosenko-sieroto!

Byłaś kiedyś hymnem wojennym i płaczką pobojowisk jakiegoś dawno zmarłego plemienia, jakimś ludom pierwotnym przyspieszałaś uderzenia serca, zwiększałaś siłę ich ramion, krew pędziłaś do głowy. A teraz ty jesteś pieśń-duch, i nie wywoływać mi ciebie z twojej mogiły. Nowym ludziom nowych pieśni potrzeba.

Hej, dużo smutku natrząsł mi ten sen na duszę. I my pomrzemy, o pieśniach naszych zapomną ludzie, którzy przyjdą po nas. I pieśni nasze pomrą. Umrzesz i ty, co ojców naszych wiodłaś w dym armatni, a nas niewolników pochylonych w jarzmie wstrząsasz dreszczem pragnień silniejszych niż śmierć, kochanko dusz naszych, piosnko legionów, kiedyś, kiedyś umrzesz i ty!

Rozpłyniesz się tak samo we wszechświecie dźwięków, rozłamiesz na tony pojedyncze. Jednym tonem szumieć będzie wicher po dolinach, drugim jęczeć będzie fala morska, trzecim piorun huczeć będzie w chmurach, czwartym skarżyć się będą drobnego deszczu krople, a resztę ptaszęta leśne rozbiorą pomiędzy siebie na kołysanki dla pisklął, na piosnki miłosne... I choć je kto kiedy znowu złączy razem, choć pieśń-ducha wywoła, na niczyje lica pobladłe nie wystąpią od niej rumieńce zapału, nikomu na jej dźwięk pragnieniem wolności nie uderzy serce, w niczyjej duszy nie rozkołyszą się jej tony niby dźwięki tonu wzywającego na bój.

I czemu to tak? Czemu to, co dla jednych było piękna zaklęciem, dla drugich, dla ich synów odległych jest pustem brzmieniem, bez ducha? Czemu wszystko musi mieć swój koniec, czemu wszystko umrzeć musi? Czemu nawet pieśń?

wać nad naprawą opinii młodzieży krakowskiej. Prezesem wybrano Bielewicza, tego właśnie, który w żywieckiem przyczynił sie dzielnie do zwycięztwa ludu przy wyborach ostatnich do sejmu. Wiadomość o wyborze Bielewicza nabawiła niektórych stańczyków febry.

Drugą sprawą, która poruszyła umysły młodzieży, był wieczór na cześć Mickiewicza. Uroczystość ta piękna i wzniosła, przed laty przez młodzież w zwyczaj wprowadzona, była zawsze dorocznem świętem młodzieży. Tym sposobem czciła ona jednego ż najpiękniejszych myślicieli narodowych, wieszcza polskiego i wielkiego orędownika wolności uciemiężonych ludów.

Najważniejszą częścią uroczystości było zawsze przemówienie przedstawiciela młodzieży. To była jedyna prawie sposobność, gdzie reprezentant młodzieży imieniem jej wypowiadał wyznanie wiary. O wolność słowa toczyła też młodzież co roku walkę ze wstecznym senatem, bardziej austryackim aniżeli sama Austrya, bardziej policyjnym aniżeli policya krakowska.

W roku bieżącym, gdy nie stało czytelni, która wieczorki mickiewiczowskie urządzała, chór akademicki na własną rękę, bez porozumienia się z ogółem młodzieży, a więc bezprawnie urządził wieczór Mickiewiczowski i porzuciwszy dawną tendencyę piękną i rozumną, tego roku na prelegenta zaprosił — wiecie kogo? — hr. Stanisława Tarnowskiego(!) Kilku z urządzających uspokoiło swe wyrzuty sumienia tem, że to dla dobra kasy. Oportunizm zatem wziął górę. Z miejsca, zkąd głos przedstawiciela młodzieży przemawiał z serca do serc, gdzie się dawał co roku słyszeć hymn uwielbienia dla wieszcza i program pracy młodego pokolenia, teraz zabrzmiał głos dystyngowanego hrabiego z ulicy Szlak. Stańczyków opuściła febra — senat się uradował — członkowie „Chóru“ mają zapewnione egzamina.

Oburzony ogół młodzieży zaprotestował, jak się tego można było spodziewać, przeciwko postępowaniu garstki, która nigdy nie może, bo nie ma prawa, reprezentować całej młodzieży akademickiej.

Protest młodzieży brzmi:

„*Podpisani akademicy oświadczają, że z wieczorem Mickiewiczowskim, urządzonym 2go grudnia przez Chór akad., Tow. liczące ledwie kilkudziesięciu członków — ogół akademików nie ma nic wspólnego, że zatem i wybór osoby prelegenta, który padł na hr. Stan. Tarnowskiego, nietylko nie jest wyrazem przekonań większości akademików, ale przeciwnie z przekonaniami ogółu młodzieży stoi w rażącej sprzeczności*“.

Protest ten podpisało **302** akademików.

* * *

* Nowa gazeta germanizacyjna. W miejsce redagowanego przez księży, a służącego germanizacyjnym celom „Kuryera Górnoszlązkiego“ zacznie niebawem wychodzić w Królewskiej Hucie pismo identycznego kierunku, lecz pod innym tytułem. Na czele nowej „gazety katolickiej“ stanęli znani z nienawiści do Polaków kapłani. Bytomski „Katolik“ takie tej sprawie poświęca uwagi:

„Gazeta Katolicka“ jest wprost wymierzona przeciwko „Katolikowi“ w pierwszym rzędzie, jak „Kuryer“ był w pierwszym rzędzie przeciwko „Nowinom Raciborskim“. Dzielni abonenci „Nowin“ nie opuścili swej gazety, Nie wątpimy, że abonenci „Katolika“ tak samo dzielnymi sie okażą. Każdy czytelnik nasz powinien uważać sabie za punkt honoru pod żadnym warunkiem „Katolika“ nie odstąpić, albowiem byłby to znak tchórzostwa i niestałości.

Ile razy nowa polska gazeta zaczyna wychodzić, tyle razy niemieckie gazety gniewają się o to. W tym razie inaczej. Niekatolickie i niemieckie gazety z radością piszą o nowej katolickiej i polskiej gazecie i życzą jej szczęścia. Jeżeli jej te gazety śpiewają tak radośnie przy narodzinach, to można sobie pomyśleć czego się po nowej gazecie spodziewają.

Dla „Katolika“ sprawa jasna: Niech będzie nowa gazeta w Król. Hucie; niech będzie dziesięć innych nowych gazet; „Katolik“ ani cala nie zejdzie z tej drogi, jaką idzie od dawna. Z Bogiem za sprawę ludu katolicko-polskiego!“

* * *

Polecany z wszystkich ambon poznańskich „Przewodnik Katolicki“ ogłasza, że od Nowego Roku zaprowadzi także dział polityczny. W obec tej zapowiedzi takie wypowiada uwagi w nr. 296 „Orędownik“:

„Na to można było być z góry przygotowanym. Stosunki płyną same i ułożą się tak, że katolicki „Przewodnik“ nietylko będzie podawał ceny targowe i inseraty, ale także nowiny polityczne, teraz raz na tydzień, potem 2 razy, potem 3 razy, a w końcu może i co dzień. Księża wywierają teraz wielki nacisk, żeby abonowano „Przewodnika“, zajmującego się dotąd wyłącznie sprawami katolickiemi, potem spracują się jeszcze wiącej, jak zaczną polecać artykuły polityczne „Przewodnika“.

Dalszy rozwój stosunków po parafiach leży jak na dłoni.

Ponieważ „Przewodnik kat.“ od Nowego Roku stanie się pismem politycznem, przeto dobrze wiedzieć, że nakład pisma tego jest — w kancelaryi Arcybiskupiej, a redaktorem jego ks. Klos z Poznania.“

W nr. 296 „Orędownika“ czytamy:

„W Inowrocławiu w niedzielę rano przed wotywą — pisze „Dzien. Kuj.“ — oznajmił w kościele św. Mikołaja ks. prob. Laubitz, że odtąd z rozporządzenia Władzy kościelnej dyecezyalnej wygłaszane będą z kazalnicy w inowrocławskim kościele św. Mikołaja — obok istniejących już niemieckich kazań miesięcznych — jeszcze takież nauki w każde drugie święto głównych świąt tj. w drugi dzień Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy i Zielonych Swiątek rano przed wotywą. Oprócz tego każdej niedzieli na nabożeństwie rannem będzie odczytana ewangelia w niemieckim języku bezpośrednio po kazaniu polskiem, a nadto i sprawy parafialne bieżące również nie tylko po polsku, lecz także i po niemiecku obwieszczane będą.

O powyższem rozporządzeniu konsystorskiem uwiadowił kapłan zebranych w języku polskim i niemieckim. Gdy je czytał, powstało w kościele poruszenie i wielu zgromadzonych wyszło ze świątyni, nie czekając końca orędzia.

Agitatorzy, którzy nibyto w imieniu garstki tutejszych „dojczkatolików“ zwoływali wiece i wysyłali petycye, postawili przeto na swojem i dzięki ich zabiegom dostaje się język niemiecki do ostatniego schroniska publicznego, gdzie mowa polska mogła się przytulić.

Dalej pisze „Dzien. Kuj.“:

„Co do zmiany samej, o której powyżej mowa, nie twierdzimy, aby w zasadzie przeciwko niej ktokolwiek mógł słusznie występować. Latem powiedzieliśmy w dłuższym artykule wyraźnie, że żądania tutejszych „dojczkatolików“ są zasadniczo usprawiedliwione. To tylko nadmieniamy, że agitatorzy nie powinni byli tak bardzo naglić. Należało raczej zaczekać, aż stanie nowy kościół, na który czekamy“.

Nie miłe to zajście; z naszej strony nie robimy żadnej uwagi, bo stosunków bliżej nie znamy, tyle wszakże każdy widzi że co się stało w Inowrocławiu, to się niebawem stać może także gdzieindziej, i że nawet kościoły nasze nie będą ostatniem schroniskiem publicznem dla mowy polskiej, jak się „Dzien. Kuj.“ wyraża.

W naszych kościołach może niezadługo wyglądać tak, jak dziś wygląda w górnoślązkich kościołach“.

LITERATURA I SZTUKA.

Sztuka w Poznaniu!

Przyjrzyjmy się salonom mieszkańców miasta i prowincyi. Oprócz starszych za-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, dziewczęta wyszły nad wieczorem do miasta, Borajski udał się na posiedzenie do ratusza i w domu nie było nikogo. Smolarz, zmęczony po całodziennej pracy, przyszedł do swego pokoiku, aby się przebrać i wypocząć, nim go wezwą na kolacyę. W chwili, gdy po umyciu się i uczesaniu i przebraniu odzienia, skręcił cygaretko i zamierzał położyć się i wyciągnąć na staroświeckiej kanapce, do pokoiku weszła pani Borajska.

— Pan sam? — zagadnęła na progu.

— Sam, proszę pani.

— Myślałam, że jest Łasicki.

— Jeszcze go nie ma.

Weszła.

— Zmęczony pan?

— Nie, wcale nie.

Pani Borajska usiadła na szerokiej kanapie.

— Dziewczęta wyszły na miasto. W całym domu nie ma żywej duszy, nawet zagadnąć nie ma do kogo — bąknęła niby rozgniewana. Siadaj pan.

Smolarz posłuszny wezwaniu, usiadł obok na krzesełku.

— Co pan masz białego na ręce?

— Nic, proszę pani, to papieros.

— Myślałam żeś się pan skaleczył i że to biała szmatka na palcu.

— E nie, to tylko papieros, proszę pani.

— Ja bardzo lubię dym z cygar...

— No... cóż?! ja także.

— Pokaż pan swoją rękę.

Smolarz wstał i wyciągnął prawą rękę, chowając lewą z papierosem za siebie. Pani Marcysia ujęła ją i pociągnęła chłopca ku sobie.

— Siadaj-że pan raz — zawołała wesoło. — Pogadamy trochę.... Pan mnie się boi, czy co?

Smolarz usiadł na kanapie.

— Pańska siostra będzie kiedyś bardzo dobrą żoną. Anulka jest daleko lepszą od Loli. Łagodne to, pracowite, wesołe, a oczy ma całkiem podobne do pańskich.

Tu spojrzała w oczy Franciszkowi i poczęła uśmiechać się zalotnie.

— Pan masz bardzo przyjemne oczy!

— Ja, proszę pani?

— Tak, pan.

— Gdzież tam, jakieś rude czy siwe, cóż, nawet sam nie wiem.

— Mnie się właśnie takie podobają. Zresztą mówię szczerze: Pan masz w sobie coś takiego, co się każdej kobiecie podobać musi...

— Cóż znowu? pani żartuje. Ja się komu podobam? ja?

— Skromny pan jesteś. Ale właśnie to mi się najwięcej w panu podoba. Odetchnęła, jakby nie mogła tego wypowiedzieć, o czem myślała. Naraz porwała go za obie ręce i zawołała:

— Bo ja pana kocham... cha, cha, cha! — zaśmiała się, a ściskając kurczowo ręce Smolarza, pochylała wśród śmiechu głowę prawie aż na jego piersi.

Smolarz odsunął się i powstał.

Pani Borajska nie zbyt jednak urażona chłodnem przyjęciem tego wyznania, śmiała się dalej, pytając przerywanemi słowy:

— Czegożeś się pan tak przestraszył?

Smolarz wyglądał istotnie jak zając, któremu nagle przerwą drzemkę w miedzy.

— Ja, proszę pani — bąkał ogłupiały — ja... no cóż? pewnie, ale to jakoś dziwnie wygląda. Odszedł w drugi kąt pokoju i oparł się o ramę okna.

Teraz dopiero powstała pani Marcysia z kanapki, a zatrzymawszy się przed niewielkiem lusterkiem, wiszącem na ścianie, przed którem poczęła palcami poprawiać rozburzone nieco włosy, spoważniała i rzekła w tonie na pół złośliwym:

— Dziwnie to wygląda, mówisz pan? no, proszę!

Odwróciła się szybko.

— Ja tak tylko żartowałam — rzuciła, a podszedłszy ku niemu i pogładziwszy go obiema rękami po twarzy, dokończyła: Oj, jakież z pana jeszcze dziecko! Boże! Nie mów pan o tem nikomu, to były tylko żarty.

Opuściła pokój.

Smolarz usiadłszy na krześle, począł dyszeć i rozmyślać nad tem, co zaszło.

— Aha, żarty, dobre mi żarty — za-

bytków sztuki, najliczniej przez portrety stare reprezentowanych, zaledwie tu i owdzie spotkać się można z obrazem lub obrazkiem nowszego pendzla; natomiast nieomal w każdym domu porozwieszano po ścianach oleodruki, heliograwury i innego rodzaju reprodukcye, świadczące o niewyrobionem poczuciu piękna i guście. Reprodukcye lepsze są dosyć drogie, a niszczeją bardzo prędko; po kilku latach obraz przestaje być ozdobą mieszkania i kwalifikuje się na śmieci. Oprócz straty pieniędzy, niemiłem i nudnem zarazem jest dla oka, spotykać się wszędzie, gdzie się zajdzie lub zajedzie, z tym samym obrazkiem, który się codziennie u siebie na ścianie widuje.

Z oryginałem ma się rzecz inaczej — posiadamy go wyłącznie dla siebie — wartości nie traci, ale na niej nawet zyskać może, nadto nie niszczeje tak prędko.

W miejscowych warunkach nie można się dziwić owemu brakowi gustu i nie wyrobionemu poczuciu piękna u tutejszej publiczności.

Gust i znajomość rzeczy, wyrabia sposobność częstego widywania dzieł sztuki różnych artystów, mianowicie wystawy i galerye, a także dobra i umiejętna krytyka. Jednego i drugiego brakuje nam w Poznaniu. Mamy tu w prawdzie galeryę obrazów w Muzeum Mielżyńskich, bogatą nawet w cenne dzieła starych mistrzów — w dziale jednak współczesnych malarzy ubogą jest i pod względem autorów z wybitniejszym talentem i pod względem reprezentacyi nowych prądów i dróg, jakiemi sztuka do ciągłego rozwoju dąży. Te rzeczy widzieć mogą tylko ci, którzy zwiedzają galerye i salony sztuki Paryża, Monachium a obecnie i Berlina.

Dalej mamy w Poznaniu staraniem najwybitniejszego tutejszego miłośnika sztuki hr. Wawrzyńca Benzelstjerna-Engeströma filię krakowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Prawdziwe uznanie i wdzięczność należą się hr. Engeströmowi, który, pomimo trudnych bardzo warunków, nie ustaje w pracy, by zaznajamiać publiczność z nowszemi dziełami sztuki polskiej i obcej. Cel ten jednak w małym tylko stopniu osięgniętym bywa, a to z powodów następujących:

Pierwszym i najważniejszym jest pewna apatya ze strony publiczności na punkcie interesowania się i zwiedzania wystawy w teatrze polskim, —

powtóre, że na wystawie tej rzadko kiedy pojawiają się dzieła naszych pierwszorzędnych talentów jak Brandta, Szymanowskiego, Gierymskiego, Chełmońskiego, Grocholskiego i wielu innych, którzy zdobywają laury i sławę polskiej sztuce w centrach świata, a o których w Poznaniu nic nie wiedzą do tego stopnia, że często kiedy w rozmowie wymieni się jedno z powyższych nazwisk — pytają „kto to? zkąd? — i, jak jego matka z domu?“

po trzecie, że kompletny brak pokupu dzieł sztuki odstrasza artystów i zniechęca do przysyłania obrazów na tutejszą wystawę, co zmusza Dyrekcyę do zawieszania czasem dyletanckich kopii z oleodruków, by zakryć ściany.

Nadzwyczaj szkodliwie działają na wykształcenie gustu i poczucia piękna u publiczności handlarze obrazów. W oknach sklepowych tych przedsiębiorców widuje się ustawicznie banalnie piękne buzie, manierycznie rysowane i słodko malowane — sceny czułe, lub banalniejsze jeszcze, z kotkami pijącemi mleczko z jednej miski z dziećmi i t. p. Wszystko to są reprodukcye z obrazów niemających żadnej artystycznej wartości, obliczone na gust tej publiczności, której jeszcze reprodukcye się podobają, — obrazów malowanych pod dyktandem handlarzy (Kunst-Haendler), wyzyskujących talent i pracę malarzy, których złe położenie materyalne, w tę otchłań wyzysku wepchnęło.

Równie szkodliwą jest u nas i krytyka. Często wychwala obrazki dyletanckie, kopie z reprodukcyi, portrety mizernie z fotografii malowane, a wystawiane po oknach sklepowych, takim doborem wyrazów, że z rzeczy marnej robi arcydzieło, zaś z wykonawcy znakomitego artystę lub artystkę. — Ciekaw jestem, jakich użyłaby wyrazów — gdyby jej prawdziwe arcydzieło ocenić przyszło?

Do oceniania obrazów używa wyrazów które nibyto o fachowej znajomości rzeczy świadczyć mają, a które w istocie nic nie oznaczają dla szerszej — w gwarę pracowni malarskich niewtajemniczonej publiczności.

Największą wagę przywięzuje tutejsza krytyka do tematu, a nie do istoty obrazu, tj. do wykonania. Pisząc o obrazie, pisze głównie o malarzu, co on myślał, co on czuł w czasie pracy, jakie natchnienia miał, a bardzo mało o tem, jak te czucia, myśli i natchnienia — malarskiemi, technicznemi środkami, na obrazie urzeczywistnił. Jestem prawie pewnym, że gdyby na wystawie tutejszej ukazał się obraz, przedstawiający jakąś żywo interesującą scenę, składającą się np.: z trzech figur, któreby malarz z trzech stron oświetlił — to krytyka opisałaby obszernie i temat i malarza — a błędów w oświetleniu nie zauważyłaby.

Skutki takiej krytyki są tego rodzaju — że publiczność zachęcona spieszy oglądać rzecz zachwaloną; — inteligentniejsza połowa publiczności nie znalazłszy podniesionych w krytyce zalet, rozczarowana traci do niej zaufanie, — mniej inteligentni polegając na zdaniu krytyka, a patrząc na rzecz średniej wartości lub bezwartościową — wyrabiają sobie fałszywe kompletnie pojęcie o sztuce.

Dla tego też krytyce na koniku protekcyi jeździć nie wolno, jeżeli za poważną i bezstronną chce uchodzić. Nie narzucajmy naszego gustu i sympatyi drugim, ale bezstronnie podnieśmy zalety i wykażmy usterki dzieła, które oceniamy, a tem samem oddamy najlepszą przysługę i publiczności i autorowi obrazu.

Handlarze obrazów i dzisiejsza krytyka zrobiły to, że dzieła sztuki u nas się kwalifikowane albo na „prześliczne“ albo na „brzydkie“: zapomniano o tem, że w sztuce koniecznie co ma być „prześliczne“ to musi być „dobre“. Gdy dzieło sztuki jest „dobre,“ choć nie jest „śliczne,“ będzie zawsze dziełem sztuki, czego powiedzieć nie można, gdy rzecz ma się odwrotnie.

M. Skibiński.

---

mruczał — ja nie takie dziecko, jak się pani zdaje. Ale ja wiem com komu winien, a stary Borajski był dla mnie drugim ojcem. Pewnie, że nikomu nie powiem, jednak nie o panią mi chodzi, tylko o niego.

W miarę rozmyślań, występowała pani Borajska w coraz gorszem świetle. Dawniej opowiadała mu Anulka niejedno o niej, lecz on nie bardzo dowierzał słowom niedoświadczonej siostry. Zastanawiało go wprawdzie, że panna Lola czerwone nieraz miała oczy podczas kolacyi, a pani Marcysia nachmurzywszy czoło, nie przemówiła do niej ani słowa, lecz z drugiej strony, jeżeli pani Borajska była taką złą i jak twierdziła Anulka prześladowała Lolę, to czemuż nie dokuczała nigdy jej samej? Gdy więc opowiadała mu Anulka cichaczem na uboczu o wielkiej wojnie domowej między Lolą a macochą, która trwać miała przez cały ranek lub poobiedzie, usprawiedliwiał Marcysię przed siostrą i nakłaniał ją, aby była posłuszną i pracowitą, a podczas utarczki domowej cicho siedziała w kąciku.

Teraz wszystkie opowiadania Anusi żywo stanęły mu w pamięci. W ślad za temi przyszły także inne myśli.

— Muszę ztąd iść, muszę jak najprędzej! Anulkę oddam do Szelągów albo do Wywrotów na stancyę, sam zaś pojadę do Pragi. Ztamtąd będę jej posyłał na utrzymanie.

I byłby to niechybnie zaraz zrobił, gdyby nie przeróżne drobiazgowe przeszkody, jak brak podróżnego kuferka, żal za Anulką, jej umieszczenie na przyszłość, jakiś niewytłomaczony lęk przed daleką drogą, wreszcie nieoswojenie się ze szczegółami planu, na który w ogólnych zarysach już oddawna się był zgodził.

Gdy więc przez kilka dni następnych pani Borajska udawała przy obiedzie i kolacyi, że go nie widzi, a zwracając się kiedy niekiedy do niego z zapytaniami, była poważną, zimną i nader grzeczną, gdy nadto oświadczyny miłosne już się nie powtórzyły — Smolarz pozostał jeszcze pod dachem Borajskich, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dla czego się z miejsca nie rusza.

Tymczasem dzień toczył się za dniem, robota w warsztacie paliła mu się w rękach, Łasiecki od wiedzał go, zabawiał, no i tak zbiegło parę tygodni.

Wśród tego nie przestawał jednak przemyśliwać nad wyjazdem. Kupił już kuferek podróżny, dowiedział się, ile mil z Kołczanowa do Pragi, jak się długo tam jedzie, którym pociągiem, ile kosztuje bilet kolejowy itd. Praga podobała mu się oczywiście z tego względu, że tam ludzie, aczkolwiek w swej mowie parskają niby koty, mówią przecież takim językiem, że go można pojąć. Z tym naprzykład harfiarzem, co chodzi po Kołczanowie i jest rodem z Pilzna, (gdzie wyrabiają sławne na cały świat piwo) mówił kilka razy i rozumiał go doskonale. Tak też zapewne będzie i z innymi Czechami.

Po tem wszystkiem dopiero oswoił się naprawdę z myślą wędrówki po świecie, która z pierwotnej, nieuchwytnej jakiejś mrzonki, przeobraziła się ostatnimi dniami w plan dokładny, obmyślany szczegółowo.

I teraz to właśnie począł go Łasiecki męczyć namowami, aby się oświadczył Borajskiemu o rękę panny Loli.

W sam czas się wybrał.

— Panna Lola jest bardzo piękna i delikatna niby gładka jaskółeczka, to prawda — myślał Smolarz na osobności — i dobra, choć z macochą żyje w niezgodzie, ale... no cóż?! trudno. Onaby mię zresztą i tak nigdy nie zechciała, więc lepiej pójść sobie precz, a o niej nigdy nie myśleć.

IV.

Długą, pogodną jesień przerwała nagła śnieżyca, która nadciągnęła z gór w ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem, i spadła na Kołczanów.

Gdy się tak człowiek przez wiosnę, lato i jesień napatrzy do syta na zielone lub żółte kasztany w ogrodzie i błoto lub kurz na ulicach, to przecież weselej mu się robi na sercu, skoro ujrzy pulchną, dziewiczą białość na dworze, grubą na stopę, a zdrową, że tylko się w niej wytarzać i oczyścić z brudu...

A przy tem Boże Narodzenie, klejenie szopki z papieru, choinka, wigilia z kutią, początek zapust, wieczorki w „Gwieździe“, tańce u Szelągów, Ranieckich, Borajskich, Dyniewskich, teatra amatorskie... mój Boże! O wielu smutnych rzeczach w takich się chwilach zapomina.

Podgórskie miasteczko Kołczanów przedstawia się oczom zabłąkanego orła co nad

Dochody artystów
i ceny dzieł sztuki.

(Dokończenie.)

Suma ta nie będzie się wydawała przesadzoną, gdy weźmiemy pod uwagę, że artysta pracował nad tem płótnem (które go samo z farbami kosztowało około 4—5 tysięcy fr.) przez 3 łata, używając jednocześnie bardzo często, po pięć lub sześć modeli naraz.

Do tych szalonych kosztów, jakich artysta nie może uniknąć, pod grozą wykonania dzieła, które go nie zadowoli i w którem będzie się wiele braków dopatrywał, do tych kosztów trzeba jeszcze dodać wiele innych, nie dających się łatwo obliczyć, jak koszta pracowni, transportu na wystawę itd. Sama rama do tak wielkiego obrazu wynosi znaczną bardzo sumę. Obraz taki z ramą przedstawia znaczny ciężar, który wymaga literalnie rusztowań ciesielskich. Gdy to wszystko obliczymy, koszta 50 tysięcy franków za obraz już ostatecznie ustawiony na wystawie nie wydadzą się przesadnemi.

W ten sposób Rochegrosse, młody, a już bardzo sławny malarz, wydał 35 tys. fr. na malowanie „la Mort de Babylone" (Upadek Babilonu). Bezstronnie mówiąc, trzeba przyznać, że Rochegrosse był o tyle szczęśliwym, że mu się jakaś część tych kosztów wróciła. Mianowicie za prawo robienia reprodukcyi fotograficznych z jego obrazu, zapłacono mu *aż* 250 franków i coś tam centymów!...

Rochegrosse, zabierając się do malowania tego obrazu, odbył umyślną podróż nad brzegi Eufratu, aby zbierać potrzebne mu materyały i studya. Pracownia Rochegrosse'a znaną jest jako prawdziwe muzeum starożytności. Niektóre przedmioty są autentyczne, wiele zaś między niemi podług dokumentów są przez samego artystę sporządzone.

Aby przekonać, że nietylko wielkich rozmiarów obrazy są dla artystów kosztowne, może służyć za przykład słynny Meissonier, którego obrazy znane są ze swych miniaturowych rozmiarów. Meissonier olbrzymie sumy wydawał na różne akcesorya i drobiazgi, które uważał za niezbędne posiadać aby je umieścić w swych obrazach.

Raz nawet, podczas malowania swej słynnej akwareli p. t. „Rok 1807", kupił pod Poissy całe pole, po którem kazał manewrować oddziałom kawaleryi. Meissonier modelom swym płacił bardzo drogo, ale za to wymagał bezwzględnej nieruchomości jak od manekinów.

Trzeba przyznać, że Meissonier, choć miał szalone wydatki jednak był w tem szczęśliwem położeniu, że również drogo mógł sprzedawać swe prace, co nie o wszystkich artystach, jak widzimy, da się powiedzieć.

Przejdźmy naprzykład do artystów rzeźbiarzy, którzy jeszcze większe ofiary ponosić muszą niż malarze.

Jeden ze znanych rzeźbiarzy, Carrier-Belleuse, zapytany przez pewną damę, w jaki sposób podług biustu gipsowego można otrzymać zupełnie dokładną jego reprodukcyę w marmurze, odpowiedział: „Mój Boże, wszak to takie proste! Potrzeba tylko z bryły marmuru usunąć to, co jest nadto i biust jest gotowy".

Dużoby niespodzianek czekało tę damę, gdyby jej opowiedzieć, wiele to przemian musi ten biust przechodzić: jak zrobiony w glinie, zamienia się na gipsowy, a ten znów na marmurowy.

Koszta, jakie ponosi rzeźbiarz, trudne są do ujęcia w jakieś stałe prawidła. Potrzebuje on pomocy wielu rzemieślników, których opłacenie musi iść w parze z trudnościami roboty, a ta znów zależy od sposobu wykonania danej pracy, a nawet od rodzaju pozy samej rzeźby.

Z rzeźby wykonanej przez artystę w wilgotnej glinie, odpowiedni specyaliści zdejmują formę, z której robią odlew gipsowy. Jeśli forma ta jest sporządzona tak, że można z niej otrzymać więcej niż jeden odlew, co często jest artyście potrzebne, to wówczas jest daleko kosztowniejsza. Odlew gipsowy, poprawiony przez artystę, może być reprodukowany w marmurze lub bronzie. Koszt tej pracy również bywa najrozmaitszy, zależnie od trudności roboty i od tego, czy odlew będzie robiony w piasku lub też w wosku. Postarajmy się jednak odnaleźć kilka szczegółów ilustrujących te koszta, a tyczących się artystów znanych.

Tak naprzykład Bucher sprzedał miastu Paryżowi za 15,000 fr. wielką figurę w marmurze p. t. „A la terre", tymczasem główne koszta przewyższyły tę sumę. I tak: licząc po 10 fr. dziennie modelowi, mniej więcej w ciągu roku (całkowite bowiem wykończenie pochłonęło około trzech lat pracy), koszt modela wyniósł około 3,600 fr. Odlew gipsowy z formą pozwalającą otrzymać więcej niż jeden egzemplarz, kosztował 1,200 fr. Cena bloku marmuru białego (blanc clair) wyniosła 2.000 fr., ale z powodu wypadku w trakcie wykonania, trzeba było sprowadzić drugi blok, co koszt podwoiło. Opunktowanie w marmurze kosztowało 4,500 fr. i tyleż obrobienie, co razem wszystko utworzyło około 15,800 franków kosztów, całkiem nie licząc różnych innych wydatków dodatkowych, transportu, kosztów pracowni, a nadewszystko za czas i pracę samego artysty.

W Salonie, w r. 1892, tegoż samego artysty, była wystawiona rzeźba „le Répos", której nabycie komisya rządowa zapewniła sobie, jeszcze przed otwarciem wystawy. Zobaczmy, o ile korzystny interes zrobił na tem Boucher.

Za rok mniej więcej pozowania modela po 10 fr. dziennie — 3,600 fr. Blok marmuru posągowego, który jest droższy od „blanc clair", — 2.400 fr. Za opunktowanie i obrobienie 3,600 fr. Obliczając na 1,500 fr. koszt odlewu, transportu i pracowni, otrzymamy z górą 11.000 fr., gdy cena, jaką Boucher otrzymał, wynosiła 12,000 fr. Oddał zatem swą rzeźbę prawie za cenę poniesionych kosztów, nie licząc wydatków na własne utrzymanie podczas pracy.

Inny z francuzkich rzezbiarzy również się nie zbogacił na jednym z najwspanialszych posągów zdobiących Paryż. Jest nim M. J. Dalou, twórca „Triomphe de la République". Praca ta kosztowała nie mniej nad 110.000 fr., czyli że pochłonęła zupełnie i nawet przewyższyła kredyt, jaki mu miasto udzieliło. Aby dać przybliżone pojęcie o

---

niem przypadkiem przeciągnie, w kształcie wielkiego klucza wiolinowego, zaznaczonego budowlami na szarej ziemi. Środkiem miasteczka zakręca Rudy literę, stanowiącą oś klucza; wzdłuż niej biegną po stronach uliczki z małymi domkami po bokach, przy których widnieją sztachety, ogródki, furty, a gdzieniegdzie i wiejskie opłotki.

W środku wiolinowego klucza znajduje się centrum miasta.

Tu ujrzysz zacny turysto, gdy cię kiedy błędny ognik w te strony podstępem zawiedzie, że miasto Kołczanow nie jest lada jaką norą.

Rudy paraduje tu na przestrzeni pięciuset kroków w oprawie drewnianej, niby małomiejski gogo w sztywnym kołnierzyku, podziwiają go w tem przebraniu oprócz wielu kamienic prywatnych, gmachy szkoły gimnazyalnej, starostwa i hotelu „pod białym jeleniem", którego podobizna przedstawiona jest siną farbą na szyldzie. Dalej nieco, w środku kwadratowego rynku, rozsiada się stary ratusz, pamiętający wiek ubiegły. Otoczyły go do koła kamienice jedno-piętrowe i kilka dwu-piętrowych, z których najpiękniejsza należy do aptekarza, a poznaną być może po wielkim, pozłacanym trójkącie i okiem w środku, od którego biją złote promienie. Mieści się w niej apteka pod Opatrznością. Tu ujrzysz dalej w tym sławetnym rynku latarnie i bruk kostkowy, którego założeniem wsławił się nieodżałowanej pamięci dziadek pani Marcysi Borajskiej — (niech mu za to święta ziemia lekką będzie) — tu wreszcie mieszczą się wszystkie sklepy pierwszorzędne, z wielkiemi szybami w oknach i wystawą za niemi.

O zajęczy skok od rynku jest inne miejsce, będące chlubą miasta Kołczanowa; zwie się ono „nowem Miastem". Kościół tam rej wodzi: za nim idzie piwiarnia i garkuchnia Bronarza, a dalej budynek i ogród „Gwiazdy", przytykającej do ogródka miejskiego. I tu wreszcie znajdują się nowe domy i kamienice najbogatszych Kołczanowian. Z tych domów wyróżnia się realność pana Kajetana Borajskiego.

Jak na całym Bożym świecie, tak i w mieście Kołczanowie podczas karnawału zwanego tu jeszcze mianem „zapust", bawią się poczciwi ludziska ochoczo.

W radzie miejskiej ani jedno miejsce nie świeci pustką, u Bronarza tłok — „Gwiazda" co wieczór jaskrawo oświetlona. Wróżnych domach tańczą, w „Gwieździe" tańczą, cały Kołczanow, zapracowany we dnie, wieczorami drga, śmieje się, wiruje; najsławniejszemu z muzyków, panu Storchowi puchną palce i kieszenie od przygrywania Kołczanowianom do taktu na fortepianie.

Obywatele miasta znają się tu na wylot, rodziny są z sobą setnymi węzłami związane, prawie wszyscy są sobie krewnymi, kumami, a wszyscy bezwarunkowo sąsiadami i w sąsiedzkiej żyją zażyłości lub waśni. Nic ukryje się tu żadna tajemnica, żaden sekrecik, zwłaszcza ten, co się do spraw sercowych odnosi.

Plotki.... ba, o tych lepiej nie mówmy.

Trzynastego stycznia są imieniny pani Marcysi Borajskiej.

Oczywiście, że takiej uroczystości nie pominą zacni sąsiedzi milczeniem.

Będzie u państwa Borajskich zabawa z tańcami, bo jest w domu młoda kobietka i dwie hoże panny. U Szelągów jest „bal" co roku około ośmnastego stycznia, z jakiej okazyi — niewiadomo. I tu młodzież tańczy zawsze na urząd, a starzy ogrywają się w ferbla i piją do upadłego. Ranieccy sprawiają w roku jeden wieczorek zapustny, Wywrotowie także, bo oczywiście dać się innym zawstydzić nie można. Nawet poważny mędrzec kołczanowski Imci pan Szołomiejski, urządza u siebie przyjęcie, w prawdzie bez tańców i muzyki, ale w każdym razie przyjęcie. Oprócz tego biega już Łasiecki po mieście i zbiera artystów do dwóch amatorskich przedstawień, które odbędą się z końcem stycznia i w pierwszych dniach lutego. Na pierwsze ma już sztukę wybraną i uzyskał zezwolenie od zarządu „Gwiazdy" na urządzenie wieczoru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

kosztach, powiemy, że sama glina kosztowała około 1,000 fr., a jest to tylko materyał chwilowo potrzebny, który musi ustąpić miejsca odlewowi gipsowemu, jak tegoż miejsce zastępuje następnie wosk, który znów z kolei znika, aby monument zjawił się w bronzie. Okucie i ustawienie tych grup wymagało skomplikowanej pracy cieśli i mechaników. Cztery boczne grupy, otaczające figurę główną, spoczywały na platformach, które dla ułatwienia w pracy musiały się posuwać na szynach.

Trzeba dodać, że wiele wydatków oddzielnie ciążyło na kasie miejskiej, mianowicie budowa specyalnej pracowni w okolicach Pola Marsowego itd.

Często potrzeby sztuki stawiają artystów w zabawnej lub kłopotliwej pozycyi. I tak: Albert Lefeuvre i Deslonchamps, pracując koło swych grup „les Abattoirs", zmuszeni byli zostać przez pewien czas hodowcami bydła. Pierwszy wynajął na kilka miesięcy krowę z cielęciem i w przybudówce swej pracowni urządził oborę. Drugi zmuszony był kupić wołu, którego karmił, lecz... co prawda nic mu już za to nie płacił za pozowania i następnie ze stratą jakiemuś rzeźnikowi sprzedał.

Wracając do głównej treści artykułu, można wypowiedzić twierdzenie, że jeśli czasem artyści dochodzą do pewnego dostatku, to z pewnością nie zdobywają go sobie sprzedażą dzieł wielkich i pomnikowych, w które najwięcej swej pracy i talentu włożyli.

Oto jest obrazek stosunków panujących w jednym z najbogatszych narodów, gdzie oprócz pieniędzy miejscowych, płyną sumy od zjeżdżających się bogatych cudzoziemców. Jakie więc są te stosunki u nas, w kraju biednym, łatwo sobie wystawić i łatwo zrozumieć, dla czego tak trudno artystom oderwać się od tuzinkowej pracy, a zabrać do większej, sumiennie i gruntownie opracowanej kompozycyi. Dzieła takie są wielkiemi ofiarami, jakie artyści dla miłości sztuki na jej ołtarzu składają, mając pewność strat materyalnych, a wątpliwość co do zdobycia uznania i sławy. Większość nawet, mimo najszczerszych chęci, ofiar takich nie jest w stanie składać, bo do nich trzeba mieć kapitał w kieszeni, a wiadomo, jak rzadkim jest on między artystami ptakiem!

Antoni Austen.
art.-mal.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sylwetki szlązkie.

III.

Z Górnego Szlązka.

Jan Karol Maćkowski.

Z wielkiem zainteresowaniem czytam wszystko co piszecie o naszym Szląsku. Czytałem więc i sylwetki, lecz nie znalazłem w nich szczegółowej wzmianki o Janie Karolu Maćkowskim, dawniejszym i pierwszym redaktorze „Nowin Raciborskich". Przeczytawszy zaś niedawno w „Dzienniku Poznańskim" świetnie opracowane przez tegoż J. K. Maćkowskiego „Wspomnienia szląskie" (które, jak się spodziewać należy, wyjdą w osobnej odbitce,) uważam za rzecz nietylko godziwą, ale ze względu na bezstronne uznanie, jakie temu niedawnemu jeszcze współpracownikowi na niwie szląskiej słusznie się należy, konieczną, choć kilka słów na dowód wdzięczności od zawsze wdzięcznych Szlązaków do „Przeglądu" przesłać. —

„Wspomnienia szląskie" J. K. Maćkowskiego podają nam szczegółową charakterystykę bojów z ostatnich lat, które się toczyły pomiędzy budządzym się i odradzającym duchem polskości i usiłującym gwałtem go przycisnąć i stłumić potężnym germanizmem. Maćkowski będąc sam autorem „Wspomnień szląskich" nie mógł ze słusznych względów osobistych wspominać o tem, iż on właśnie, jako redaktor „Nowin", w tej walce zajął przednie miejsce, i stał się jednym z najwybitniejszych bojowników i szermierzy narodowej sprawy na Szlązku.

Trzeba bowiem wiedzieć, że walkę tę dziś tak gorącą, ale równie sprawiedliwą, poprzedził w swoim czasie (1890 r.) artykuł p r o g r a m o w y „Nowin", piórem Maćkowskiego skreślony, w którym wobec stronnictwa centrum wyrażono wszystkie te postulaty równouprawnienia, o które dziś walka się toczy. Trzeba było być stałym i regularnym czytelnikiem „Nowin", aby się przekonać, jak stopniowo w myśl wytkniętego programu sprawa polska na Szlązku się rozwijała i z jakiemi przeciwnościami redakcya i jej młody, ale zupełnie świadomy swego zadania i utalentowany kierownik, mieli do walczenia.

Grom po gromie padał z niemieckich gazet centrowych, a procesa, kary i więzienia stały się niemal rzeczą już powszednią. Dość powiedzieć, że w przeciągu jednego kwartału musiał Maćkowski zapłacić, o ile mi wiadomo, 800 marek sądom, a w przeciągu nie więcej jak jednego roku skazano go, raz po razie, na 8 miesięcy więzienia.

(Temi ciężkiemi klęskami tłómaczyć zapewne wypada, co tu mimochodem nadmieniam, konieczność, która Maćkowskiego zmusiła do sprzedania ostatecznie „Nowin"; lubo fakt ten smutne zrobił wrażenie na zwolennikach i przyjaciołach „Nowin" i Maćkowskiego. ta jednak pozostała otucha, że „Nowiny" dostały się w ręce zacnego i wykształconego współredaktora „Katolika" p. Jana Eckerta).

Groźniejsza jeszcze chwila nastała, gdy „Nowiny Raciborskie" potocznie tylko wspomniały o germanizowaniu w zakładach (czy zakonach) tak zwanych „Służebniczek Maryi". Gazety niemiecko-katolickie pochwyciły w lot sposobność i burzyły tak długo, aż spowodowały księży górnoszlązkich, przeważnie wrogo usposobionych wobec narodowych gazet polskich, do zbiorowego wystąpienia przeciw „Nowinom". Tymczasem, choć dekanat za dekanatem oświadczenia swoje z ambon i w „Schles. Volkszeitung" ogłaszał, lud nie dał się zbałamucić, lecz tem silniej stanął przy „Nowinach", tak że zaraz w przyszłym kwartale przybyło „Nowinom" 500 abonentów. Słusznie też scharakteryzowało pismo to w artykule „P o w a l c e" sytuacyę następującemi słowy:

„Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Złem było, że „Nowiny" w swej troskliwości o prawa i dobro ludu górnoszląskiego powtórzyły ów zarzut przeciwko NP. Księciu Biskupowi. No, za to złe, to już chyba dosyć odpokutowały, boć szarpano je na wszystkie strony, jakkolwiek „Nowiny" same dobrowolnie złe to naprawiły i Księcia Biskupa przeprosiły. Ale powtarzamy raz jeszcze: Niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Tak i w tym wypadku poznaliśmy wszelkie tajne i ukryte myśli przeciwników naszych i wiemy dziś już, czego się od nich spodziewać możemy, a również, na k o g o t o w c i ę ż k i e j n a s z e j n i e d o l i l i c z y ć m o ż e m y.

Niema pewnie między czytelnikami „Nowin" tak łatwowiernego, którby uwierzył, że gazetom niemieckim rzeczywiście tylko o sławę Księcia Biskupa chodziło, bo na obronę tej sławy takiej wrzawy nie było potrzeba. W swej zawziętości fałszywi przyjaciele sami się zdradzili. C z e k a n o t a m w W r o c ł a w i u j u ż o d d a w n a n a s p o s o b n o ś ć, a b y „N o w i n y" u b i ć. Dla czego? Otóż jedynie dla tego, że „Nowiny" reprezentują, czyli uosobiają w sobie s a m o d z i e l n o ś ć l u d u s z l ą z k i e g o, ponieważ bronią ludu nietylko przeciw otwartym wrogom, ale także przeciw fałszywym przyjaciołom, ponieważ ostrzegają lud, aby miał się na baczności, i nie pozwolił się na pasku udanej słodyczy do większego jeszcze doprowadzić p o n i ż e n i a".

Z takiego więc ognia wyszedłszy cało, tem śmielej mogły „Nowiny" postępować naprzód, bo poczuły przywiązanie ludu, który dał świadectwo obywatelskiej świadomości i umiejętności odróżniania prawdy od fałszu.

Zbliżyły się wybory do parlamentu. „Nowiny" postawiły pierwszego polskiego kandydata: nauczyciela pozasłużbowego Robotę z Prudnika, a choć kandydat ten przepadł, to przecież pracowitej przeszłości „Nowin" i takim zdolnym mówcom wiecowym, jak Maćkowski i dr. Rostek w Raciborzu, miał do zawdzięczania poważną cyfrę 6000 głosów, podczas gdy przeciwnik, choć głosowali na niego wszyscy połączeni Niemcy bez różnicy wyznania i stronnictw, oraz nieoświeceni niestety Morawianie, zdołał pozyskać nie wiele więcej — jeżeli mnie pamięć nie zawodzi — jak 8000 głosów.

I w wyborach do sejmu postawiono polskich kandydatów, a ponieważ Niemcy-katolicy powtórnie sromotny kompromis z innemi stronnictwami zawarli, więc i tym razem o zwycięztwie Polaków nie mogło być mowy; ale i Niemcy-katolicy przegrali haniebnie, gdyż pomimo kompromisu zostali przez stronnictwo rządowców oszukani i pobici. Nie byłoby to się stało, gdyby nie byli lekceważyli potęgi ludu polskiego-

Echa tych walk narodowych w samym Raciborskiem na chwilę ucichły, lecz nie przebrzmiały bez śladu. Będą się one jeszcze długo odzywały, a sądzę, że tak długo, póki lud zupełnego równouprawnienia sobie nie wywalczy; będą się odzywały w tej zgodnej harmonii wszystkich trzech gazet naszych narodowych („Nowin", „Katolika" i „Gazety Opolskiej"), której Maćkowski tak szczerze pragnął, czego dowodem ostatnie dwie zwrotki z pieśni jego, ułożonej swego czasu na 25-letni jubileusz „Katolika":

I.

Dwie siostrzyce, krasawice
Starszej siostrze pokłon dają,
A promienne młode lice
Blask swój starszej zawdzięczają.
Starszej cześć, starszej cześć
I uznanie trzeba nieść.

II.

Jak kochanek i kochanka
Niechaj żyją trzy siostrzyce
Z „Katolikiem" „Opolanka"
I „Nowiny" krasawice.
Wszystkim cześć, wszystkim cześć
I uznanie trzeba nieść.

I Tobie cześć i uznanie niesie Szląsk, zacny pracowniku na niwie narodowej. Choć zdala od nas pono przebywasz, przecież blizcy Ci zawsze sercem jesteśmy i wdzięczni i w miłej Cię na zawsze chować będziemy pamięci! Bóg z Tobą w dalszej tak wzniosłej pracy dla dobra i szczęścia narodu.

J. D.

Studentki w Szwajcaryi.

Kwestya kobieca, o której setki tomów zapisano, która tak ważny krok znamionuje w rocznikach ludzkiego postępu, a dla przyszłości tak doniosłe rokuje nadzieje, daleką jest jeszcze od ostatniego rozwiązania. Bądź co bądź jednak kwestya ta na całej linii wywołała bój pod hasłem „emancypacyi“, rozwija się i coraz szersze zdobywa sobie pole działalności, coraz liczniejszych zyskuje apostołów i wyznawców, coraz jaśniej stawia swój program na ruinach zapleśniałej wsteczności. Literatura tego kierunku nieprzebraną jest w argumentacye za i przeciw równouprawnieniu kobiet, ale właśnie to zainteresowanie się zawiłą kwestyą, te głosy obrony i potępienia, ta krytyka, to ścieranie się twierdzeń znamionują żywotność sprawy i podnoszą jej znaczenie. Dziwić się nowatorskim dążeniom kobiet nie można, bo są one wynikiem „prawa do życia“, a zatem prawa, które każdy nieuprzedzony uszanować musi. Skoro zaś dążenia takie wydać mogą owoce rzeczywistego pożytku i polepszyć byt społeczny kobiety, która nadto chce być czynną i produkcyjną jednostką w mechaniźmie społecznym, tamować ich rozwoju nikt nie powinien. Powiedział Szopenhauer, że „żyć znaczy chcieć, a chcieć znaczy cierpieć“, kobieta chcąc jednak żyć, nie ulękła się cierpień, odważnie stanęła do walki z życiem i zakasała rękawy do pracy, która jej zwiastowała własne zadowolenie i nęciła nadzieją zapewnienia niezależności. O ile takie dążenie, takie przeobrażenie utartych dróg postępowania licuje z słusznością, nie trudno o sąd, byle ferujący wyrok, już to jednostka, już to ogół, stanął na stanowisku objektywnem i zrzucił z siebie chociaż na chwilę maskę egoizmu. Duch czasu przynosi nam coraz twardsze warunki życia; ogólne przygnębienie kraju (mam tu polskie dzielnice na myśli) oddziałało i na kobietę, która widząc, że intelektualne i fizyczne jej siły w bezczynności idą na marne, a podminowana nadto idealnemi dążeniami ludzkości, zamieniła bierne wyczekiwanie.... kupca, który notabene w wielkiej loteryi świata zbyt często zawodził jej nadzieje, na aktualną czynność o ile ta nie przekraczała możności sprostania zadaniu. Coraz zacietsza walka o byt dodała kobiecie bodźca do pogłębienia swych wiadomości, do rozszerzenia horyzontu swych pojęć, ażeby, o ile to możebne, wyrównać szczęśliwszym pod tym względem mężczyznom. Emancypacya powołała kobiety do większego zainteresowania się własnym losem, podała im nowe sposoby zużycia duchowych swych kapitałów, obudziła w nich chęć, a co zatem idzie zamiar i postanowienie zdobycia sobie nowych dróg postępowania i sposobów do lepszego i zyskowniejszego ujawnienia swych zdolności, oraz możności współdziałania w dążeniach, pracach i trudach, których pomyślne rozwiązanie przypisywano tylko rodzajowi męzkiemu. Zakusy te i osiągnięty w licznych razach cel dążeń sprowadziły rodowi mężczyzn konkurencyę, usprawiedliwia ją jednak wspomniane już poprzednio prawo do życia, nadto w częstych przypadkach (n. p. w medycynie) właśnie ta istota kobiety i połączone z nią kwalifikacye, które w wielu razach pożyteczniej od męzkich dają się wyzyskać (choroby kobiece zwłaszcza na Wschodzie). Studentka w potocznem mniemaniu tworzy synonim emancypantki i poniekąd słusznie, bo o ile druga nie zawsze jest lub była studentką, o tyle ta jest wynikiem i pionierem emancypacyi kobiecej. Zadaleko zaprowadziłoby mnie segregować i badać wszystkie jej odcienia w różnych częściach świata, to też na dzisiaj postanowiłem podzielić się z Szan. Czyt. wiadomościami specyalnie o studentkach w Szwajcaryi. Ostatnie z natury rzeczy więcej nas interesują, ponieważ w wielkiej części rekrutują się z Polek, z tych Polek, których życie na uniwersytecie otoczone jest aureolą mistycyzmu z nimbem tajemniczej zagadkowości i *last not least* po większej części błędnych uprzedzeń. Nasamprzód nadmienić muszę, że kobieta, chcąca się oddać wyższym studyom fachowym, spostrzega zawsze, że wykształcenie jej ogólne nietylko chroma, ale wręcz nie wystarcza do podołania wymaganiom uniwersytetu. Wina to oczywiście nie kobiety, ale ustroju szkólnictwa, które w innych celach wychowuje ród ludzki *masculini*, a inaczej *feminini generis*. Podczas gdy np., w Ameryce, kierunek powszechnie przyjęty zmierza do zatarcia różnic pomiędzy chłopcem, a jego rówieśniczką, tak, aby kobieta w późniejszych latach sama sobie wystarczyć mogła bez oglądania się na pomoc mężczyzny, a nawet, żeby przygotowaną była z nim współzawodniczyć, u nas i wogóle w europejskich społeczeństwach dzieje się wręcz przeciwnie. Reakcya i zmiana w tym kierunku postępuje żółwim krokiem, bądź co bądź jednak została powziętą i pojedyńcze gimnazya żeńskie w wykładami łaciny, greki i wyższej matematyki zostały już otwarte, mimo, że dotychczas na palcach jednej ręki policzyć je można. Ameryka o wiele wyprzedziła Europę. Stany Zjednoczone posiadają 10 specyalnych uniwersytetów dla kobiet, Kanada 1, to też według najnowszej statystyki w Ameryce zawód lekarski uprawia 2000 kobiet, pomiędzy temi 95 w y k ł a d a medycynę, specyalnie chirurgii poświęca się 70, a samych okulistek jest 40. Upadek powziętego zamiaru otwo zenia polskiego gimnazyum żeńskiego we Lwowie niedawno jeszcze temu narobił dużo hałasu w gazetach, równie jak przypuszczenie kobiet do studyi uniwersyteckich w Krakowie. Polki, chcąc słuchać wykładów na uniwersytecie, udają się przeważnie do Zurychu lub Genewy i przedwstępne studya swe zaczynają od prywatnego przygotowania się w danych materyach, lub zapisując się równocześnie jako „wolne słuchaczki“.

Statystyka wykazuje, że najwięcej Polek poświęca się medycynie, licznie także uczęszczają na wydział przyrodniczy, znacznie mniej na wydział literacki, a wyjątkowo tylko na wykłady nauk społecznych. Wydział prawniczy nie miał dotychczas, o ile mi wiadomo, żadnej Polki i, co z natury rzeczy wypływa, żadnej także wydział teologiczny, jak się to przeciwnie dzieje pomiędzy Amerykankami. Sekcya nauk filozoficznych bodaj także żadnej, chociaż wszystkie studentki uprawiają filozofię prywatnie, bez systemu, po amatorsku. Największej trudności przedstawia zwykle fizyka, z powodu potrzeby znajomości wyższej matematyki: wiele studentek, które zamierzają studyować medycynę, a które nie wiedzą, czy fundusze na długie studya wystarczą, kończą zwykle wpierw wydział przyrodniczy Chociaż Polki liczebnie wśród studentek szwajcarskich poważne zajmują miejsce, to jednak znacznie wyprzedziły je Rosyanki i różnicę tę można liczyć na 50 proc.

Wracając raz jeszcze do wykształcenia Polek nie mogę pominąć, że wychowanie kobiet w naszem społeczeństwie, oprócz braków ścisłego przygotowania naukowego, stawia im zaporę do wolnego, samodzielnego życia studenckiego, chroniąc je za młodu od wyrobienia samodzielności w jakimkolwiek kierunku. Potrzeba dopiero całej sumy warunków, żeby Polka zdecydowała się urzeczywistnić swój zamiar i zostać „studentką“. Ale nauka i świeży powiew nowych prądów przedostają się dzisiaj wszędzie, rozwiewając stopniowo polskie uprzedzenia, krępujące kobietę, zwłaszcza studentkę, i zmieniają pojęcia ludzkie o świecie i przeznaczeniu człowieka. Inaczej było przed niewielu jeszcze laty. I jeżeli, pomijając nauki, na uwagę weźmiemy rzecz tak błahą i ogólnie małoznaczną jak n. p. ślizgawka, jakaż zmiana gustu, jaka metamorfoza zapatrywań jasno i dobitnie do nas przemawia o postępie czasu! Gdy dawniej za niesłychaną nieprzyzwoitość uchodziło, by panna z porządnego domu oddawała się takiej *shocking* rozrywce jak ślizgawka, która dobrą była dla wyrostków i to jeszcze niezbyt tęgiej używających reputacyi, dzisiaj nawet starsze matrony nie wahają się uczyć łyżwiarskiego kunsztu w chwalebnym zresztą zamiarze bezpośredniego dozorowania córeczek. Podobnie miała się rzecz i z studyami uniwersyteckiemi dla kobiet i dziś, oprócz nieufności w wytrwałość i przeprowadzenie zamiarów, coraz mniej ludzi za złe bierze pannie, jeżeli ta udaje się za granicę, ażeby tam u źródła czerpać wiedzę i następnie praktykować w zawodzie, który nie tak dawno jeszcze był monopolem mężczyzn.

Oczywiście nie bądźmy optymistami i nie sądźmy, że zwycięztwo nowych idei jest radykalne i powszechne.

Społeczeństwo nasze karmione od długich lat margaryną umysłową — jak swego czasu trafnie wyraził się Przegląd — i zamknąwszy oczy i uszy na nowe prądy, które ponad niem przeleciały, zasklepiło się samo w sobie, otoczyło się murem chińskim przeciw postępowym dążeniom i zatraciło pogląd na nowe zdobycze wiedzy i prądów społecznych.

Ztąd to pochodzi, że publiczność, nie pojmując jeszcze różnic głębokich, lecz pokrytych pozornem podobieństwem, tak często miesza pojęcia polityczne, społeczne, religijne i nie pojmując doniosłości nowych idei i ideałów, jak w niniejszym przypadku, wyblakłą postać zgasłej już prawie za dni naszych „basbleu“, lub poczwarkę sawantki o podstrzyżonych włosach i niebieskich okularach miesza z studentkami, robiąc z swego widzimisię ogólny galimatias pojęć, prawdziwy bigos zapatrywań, podlewany sosem zwietrzałych i przestarzałych aforyzmów. Kto sam żył czas niejakiś na jednym z uniwersytetów szwajcarskich i bliżej poznał studentki, tego niepomiernie zadziwi, ale i uśmieszy, skoro usłyszy w kraju opowiadania, jakie o nich krążą przy familijnych herbatkach, a które graniczą z baśniami 1001 nocy. Społeczeństwo nasze przyzwyczajone chodzić utartemi drogami, wierząc święcie w przykazanie „ładu i porządku“ i zapatrując się na wszystko i wszystkich według wskazówek tych, którzy mają pretensyę dyrygowania koncertem opinii, mimo, że niezupełnie gustuje w tej kakofonii tonów, pozostaje biernem, bo odzwyczaiło się od krytyki i ścisłych badań. Ztąd u nas w Wielkopolsce pod wielu względami zacofanie i stagnacya umysłowa, ztąd ten konserwatyzm, tamujący każdy świeży powiew myśli, dlatego Wielkopolanek dotychczas próżno szukać pomiędzy studentkami. Mierząc ludzi nie miarą Fidiasza, ale łokciem krawca, trudno publiczności naszej usprawiedliwić swobodne życie studentek, ich obcowanie z studentami, wspólne studya, wspólne wycieczki, wspólne rozrywki, nie krępowane gorsetem konwencyonalizmu. Jeżeli jednak mimo tego wszystkiego, mimo że oddaleni jesteśmy od szerokiego gościńca, po którym kroczy pochód cywilizacyi współczesnej, wchłonęliśmy w siebie nieco atmosfery otaczającej, przyswoili sobie niektóre dążenia, zastosowali

ten lub ów nowy kierunek, jeżeli przebłyski podjęte na Zachodzie w radykalniejszych sferach umysłowości kobiecej znajdują i u nas refleks, to zawsze zaliczyć je można, przynajmniej tymczasowo, — do wyjątków.

W Szwajcaryi pod tym względem inaczej stoi sprawa. Tam nikt ani się dziwi ani podejrzywa, jeżeli np. w mieszkaniu studentki gromadzą stę studenci i koleżanki, ażeby wspólnie opracować pensum, ażeby myśl jaką zawiłą wspólnie przedyskutować i wyświecić. Tam nie dziwi nikogo, jeżeli do samotnego mieszkania studentki wchodzi student, ażeby odwiedzić koleżankę, nie dziwi ani gorszy nikogo, jeżeli nawet późno w noc, wracając z jakiego zgromadzenia, koledzy studentkę odprowadzają do domu. Trzeba być świadkiem tego życia cygańskiego może nieco, ale bynajmniej nie rozpustnego, trzeba widzieć jak zimą wieczorem grono studentek i studentów w mieszkaniu tej lub owej koleżanki „preparuje“ sobie herbatę, lub „denerwuje“ się filiżanką kawy „czarną jak noc, gorącą jak piekło“, chociaż z częstego braku cukru, nie zawsze „słodką jak miłość“, trzeba przypatrzyć się z bliska jak ci wychowańcy i wychowanki akademii otoczeni kłębami dymu późno nieraz w noc gwarzą i debatują, bez pobocznych zamiarów i tylko w celu towarzyskiej pogadanki i wzajemnej wymiany myśli; wtenczas znika różnica płci i wszyscy są tylko kolegami, tak samo jak w urzędowej gwarze uniwersyteckiej nie ma studentek i studentów, tylko „studyujący“. Czyż w takich stosunkach studentka, dla której ideałem szczęścia jest wiedza, lepszego nie sprawia wrażenie, niż przeciętna nasza panienka, dla której często definicyą szczęścia jest jabłecznik z bitą śmietaną! W Zurychu, Genewie i Bernie kobieta równie jest „akademickim obywatelem“, jak mężczyzna. Profesorom przybyłym zwłaszcza z Niemiec sprawia to nieraz pewien ambaras, i humor studencki dzieli ich na takich, którzy przemowy swe zaczynają od nagłówka: „Szan. Zgromadzeni“, albo „Moje Panie i Panowie“, lub wreszcie odwrotnie. Są to drobne formalności drażliwe początkowo nieco dla profesorów Niemców, zwłaszcza nowicyuszów. Niemców też zwykle i pomiędzy studentami dość dużo, zwłaszcza w letnim semestrze, a to z powodu, że przybysze korzystają z sposobności uroczych wycieczek i poznania wolnej ziemi Tella. Kursa, jak to już nadmieniłem, są wspólne dla obu płci i te same; gdy pewien profesor zaprowadził raz pod tym względem zmianę, ogłosiwszy specyalne wykłady dla kobiet, stawiły się na nie 2 tylko słuchaczki, tak że do dawnego zwyczaju powrócić musiał. Według naszego domowego wyobrażenia spodziewać by się można, że wykłady medycyny a zwłaszcza fizyologii, żenujące być muszą dla kobiet i dają powody do licznych zwrotów, które rumieniec wstydu na twarz kobiecą wywołują. Nic z tego. Przeciwnie, właśnie na wykładach medycyny, panuje rzeczowa powaga, a profesorzy bez uszczerbku dla nauki pozbyli się wobec kobiet dwuznacznych uwag i dowcipów, któremi na niemieckich uniwersytetach tak często kraszą suche wykłady. Na wykładach znika różnica płci, są tylko słuchacze i nikomu na myśl nie przychodzi, żeby studentka ambarasować się miała przedmiotem wykładu, lub męzkiem otoczeniem. *Naturalia non sunt turpia* służy tu wszystkiem za dewizę, a objekt wykładu w prosektoryum uważany jest jedynie za konieczną materyę wykładu. Gdy razu pewnego młode dziewczę opuściło w Zurychu podczas wykładu salę, pożegnano je gwizdaniem i tupaniem, mimo że biedaczka, jak się to następnie wykazało, nie ze wstydu opuściła prosektoryum, ale poprostu dla tego, że nieprzyzwyczajonej do widoku pokrajanego trupa źle się zrobiło. Myliłby się także, ktoby myślał, że studentki i powierzchownie wyróżniają się z grona kobiet. Zdarza się wprawdzie czasem u nich kapelusz jakiś zawadyacki, lub swobodniejsze ruchy, ale wyjątki nigdy nie stanowią reguły. Kobieta i tu pozostaje kobietą, nie pozbawioną nawet kokieteryi i przyrodzonego jej wdzięku, o ile jej na uwydatnienie ostatniego pozwala kasa. Niejedna z naszych matron zadziwiłaby się ich zaparciem siebie, ich wytrwałością i pracą, która swawolnym myślom nie daje przystępu. Gdyby nasi gimnazyaści tak jak nieraz studentki „kuli“ łacinę i matematykę, niejeden z mniejszym wąsem opuszczałby gimnazyum. Kto wśród większej liczby studentek poznał takie, które, byle się uczyć, byle dopiąć celu, 50 frankami miesięcznie opędzają domowe wydatki i w cienkich, wyszarzanych spódniczkach punktualnie biegną na wykłady, żeby się nie spóźnić, nic nie opuścić, nic nie stracić, ten czoło pochylić musi przed poważnem ich traktowaniem rzeczy. Dziwnem jest, że właśnie Rosyanki jako studentki najgorszej używają reputacyi, chociaż właśnie one należą do tych najbardziej wydziedziczonych, którym Bóg zwyczajnie nie pobłogosławił na urodzie, a najczęściej i na kieszeni. One jak i Rosyanie studenci nie mają nic w sobie z tych wrogich instynktów dla Polaków, które cechują rasowego moskala. Przybywając do Szwajcaryi na studya mają prawie zawsze po za sobą historyę, skwitowali z maksymami carstwa i w najliczniejszych razach przybywają do Zurychu, ponieważ ich zapatrywania społeczne i polityczne nie zgadzają się z zamiarami rządu rosyjskiego.

Rosyanki i Rosyanie studyujący w Szwajcaryi należą zwykle do ludzi, którzy życie i ludzi szerszem obejmują okiem i jako przeciwnicy systemu rządowego, a podminowani reformami i dążeniami Zachodu, znaleźli się w konflikcie z życzeniami rządu. Opuszczając Rosyą rezygnują bardzo często z powrotu do swej ojczyzny. Rosya dobrze o tem jest poinformowaną i rozsyła szpiegów, którzy za ruble pilnie nadstawiają ucha i o wszystkiem donoszą do Petersburga. Ztąd też pochodzi, że Polacy, nauczeni smutnem doświadczeniem, a nie wiedząc w kim wroga, a w kim przyjaciela upatrywać, trzymają się na uboczu i trzeba być świadkiem naocznym, żeby wyobrazić sobie sytuacyę, gdy w gronie zebranych ktoś szeptem wskaże domniemanego szpiega. Wtenczas milknie każda żywsza nuta, każde swobodniejsze słowo i pogawędka przybiera temat ogólny, nic nie znaczący. Że Rosya słusznie przewiduje w studentkach wrogów swego systemu, o tem najlepiej przekonać się można na wykładach historyi i nauk społecznych. Rzuciwszy okiem po sali nietrudno z postawy, wyrazu twarzy i zachowania się przekonać, że ci którzy z zachmurzonem czołem, gniewnem okiem i zaciśniętemi ustami słuchają o przewrotach społecznych, należą do owych reformatorów, którzy zmurszały świat z posad chcieliby ruszyć i na jego ruinach głosić ewangelię swobody i równości. Te oczy marzycielskie, te profile fanatyków, te rysy męczenników, włosy rozwiane lub spadające na ramiona, ile tam typów dla malarza, ile tematów dla myśliciela! Nie przeczę, że nie tylko wśród studentów — Rosyan, ale i wśród studentek — Rosyanek, znaczna tu liczba wyznawców socyalizmu, nihilizmu, a czasem nawet anarchii, ale właśnie to wyznawanie ideałów nie harmonizujących z duchem rządu, ten opór przeciwstawiony przemocy, dają Polakom pewną gwarancyę, że w kolegach z Rosyi nie znajdą wrogów ojczyzny. Iluż z nich z patentem lub doktoratem w kieszeni nie cierpi następnie w Petropawłowskiej twierdzy, lub kończy na Sybirze! Szpiedzy rosyjscy naturalnie nietylko wśród własnych braci, ale i wśród Polaków czyhają na ofiary, lecz pojęcie koleżeństwa jest tu tak wyrobione, że studenci bywają zawczasu uprzedzani, przed kim się strzedz należy. Gdy na pewnej rocznicy listopadowej w Zurychu wygłosiłem patryotyczną mowę, zbliżył się do mnie nieznany mężczyzna w ciemnych okularach i w mniemaniu, że jestem poddanym rosyjskim, przedstawiwszy się jako korespondent do jakiegoś czasopisma galicyjskiego, prosił o brulion mej mowy. Hurmem zbiegli się do mnie koledzy i nawiązując rozmowę na inny temat, szczypiąc mnie pokryjomu, szarpiąc z tyłu i dając znaki poza plecami szpiega, uprzedzili mnie z kim mam „przyjemność“. Ta sama solidarność panuje i pośród studentek, które oczywiście na równe nieprzyjemności są narażone. A jednak z jakiem poświęceniem z jakiem zaparciem siebie niosą sztandar swego wyznania politycznego, z jaką dumą i cywilną odwagą bronią swych przekonań społecznych. Bynajmniej nie pojedyńczo zdarza się, że studentki — mówię tu o Rosyankach — przemawiają na zgromadzeniach, prawda, że najczęściej socyalistycznie. Wystąpienia takie publiczne, przecinają drogę powrotu do Rosyi, a jednak z przyjemności, z wygód, z zadowolenia składają ofiarę na ołtarzu złych czy dobrych, lecz szczerze umiłowanych ideałów społecznych.

W ciągłem obcowaniu w towarzystwie męzkiem zatracają studentki wprawdzie niekiedy dużo delikatności kobiecej, nabierają ruchów i gestów nieco męzkich, lekceważąc wybryki mody zaniedbują się czasem w stroju, a od ciągłego palenia papierosów głos ich przybiera nizkie, męzkie tony, ale odnosi się to, i nie jako reguła, do socyalistek i nihilistek. Wśród studentek Polek dążenia podobne stanowią wyjątek w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu. Być może — że prąd ten i pośród ostatnich istnieje, jeżeli tak jednak jest, to z pewnością wązkiem płynie korytem na uboczu, nieledwie poza społecznością studencką, a na pewno poza tem, co jej część rdzenną stanowi.

Wśród studentek Polek, których cały tryb wychowania znamionuje przewodnią myśl wyrobienia w nich odrębności kobiecych, życie na uniwersytecie rozwija zdolności wrodzone, ułatwia nabycie wiedzy, hartu ducha i ciała, a wszystko to dla uformowania charakteru o ile można najbardziej licującego z ich przyszłem powołaniem; do naśladowania Rosyanek jednak nie przyjdzie chyba tak rychło. I o ile Rosyanki w czynnym rewolucyoniźmie nie ustępują mężczyznom i należą do związku nihilistycznego, albo do lewicy najskrajniejszej, z anarchizmem graniczącej, o tyle Polki stronią od podobnych związków nielicujących z ich charakterem narodowym i oddają się — tylko nauce. Myliłby się także, ktoby sądził, że studentki należą do owych skarykaturowanych istot, cierpiących wiecznie na anemię i wycieńczenie, a przyznać wszystkim nieomal trzeba, że odznaczają się notoryczną pilnością i prawdziwem pojęciem obowiązków. Oprócz nauki, studentki nasze są także dostępne i dla zabawy, co zresztą leży w istocie ich wieku. Na balach studenckich najlepiej można obserwować, że nie utraciły nic z wdzięku i powabu kobiecego.

Wpływ studentek na kolegów jest bardzo dodatni, i zdziczeni nieraz dawnem życiem studenci, przez towarzystwo koleżanek odzyskują dawną równowagę moralną i giętkość w obcowaniu z kobietą wykształconą, znającą swą godność kobiecą. Uniwersytety szwajcarskie to wielkie zakłady wychowawcze, które obok rozumu kształcą serce i duszę. Oprócz wspólnych wykładów i zajęć w laboratoryum odbywają się od czasu do czasu także wspólne wycieczki, na których gawędzi się nad kwestyami zawodu, zazna-

jamia się nawzajem z otoczeniem, z naturą i nowemi zdobyczami wiedzy. Na takich wycieczkach niejedna dobra myśl, błąkająca się samopas, znajduje urzeczywistnienie, a pomijając ich wewnętrzną korzyść, nie są one również bezpożyteczne na zewnątrz, gdyż zostając pod kontrolą jednego z profesorów, budzą interes ogółu. Jest to godziwy i szlachetny środek reklamy wobec tych, którzy zyzem spoglądają na istotę studentek.

Nakoniec muszę jeszcze nadmienić, że wstęp do uniwersytetu nie przedstawia dla kobiet żadnych trudności i *wolną słuchaczką* może zostać każda ukończywszy lat 18, od studentek rzeczywistych zaś wymagany jest patent nauk gimnazyalnych, udzielany przez miejscowe „collège“. Cudzoziemki o prawa rzeczywistych studentek rzadko się starają.

Ukończenie studyi jednego z uniwersytetów szwajcarskich nie jest jednak tak łatwem, jak ogół nasz nieraz z lekceważeniem sądzi, tłomacząc sobie mylnie, że byle pobyć kilka lat w Zurychu lub Bernie, wystarcza do otrzymania bakalaureatu lub doktoratu bez ścisłych egzaminów. *Doctor romanus, asinus germanus* nieraz łączone tu bywa znakiem równania, gdy tymczasem statuty oprócz dysertacyi i ustnego egzaminu, przepisują także piśmienną pracę klauzurową. Zważywszy nadto, że wśród egzaminujących profesorów znajdzie się zawsze taki, który niechętnem okiem spogląda na studentki, trudności szczęśliwego rezultatu nie zawsze są łatwe do przebycia. Nauka medycyny wymaga zwykle 6 lat studyi, nauki społeczne i przyrodzone 3 lata mniej więcej. Wpisy, wykłady, klinika, laboratoryum i egzamina równie drogo kosztują jak w Niemczech lub Austryi, a bakalaureat, licencyat lub doktorat 50 do 200 frankami trzeba opłacać.

W Genewie egzystuje „tow. międzynarodowe studentek“, które pragnącym informacyi udziela bezinteresownie potrzebnych wiadomości. Czy i w Zurychu podobne towarzystwo istnieje, nie wiadomo mi. Powodzenie kobiet w studyach uniwersyteckich zależy od wielu warunków, z których jeden leży w właściwościach naturalnych kobiet, drugi w ich wychowaniu, inny w przygotowaniu naukowem, a wreszcie i w uniwersytetach samych. Ponieważ jednak poza uprzywilejowanem ogniskiem rodzinnem istnieją całe tłumy wydziedziczonych, które w życiu dotychczasowego trybu przegrały całą wstawkę pomyślności, które mnożą się w sposób zatrważający, a dla których pomoc i ułatwienie trudnej drogi stanowi święty obowiązek zarówno prawodawstwa jak i dobrze zrozumianej filantropii, zastosowanej do potrzeb obecnej chwili, przeto należy przed niemi otworzyć na rozcież podwoje, do których wstęp był przedtem wyłącznym atrybutem męzkiej połowy rodu ludzkiego. Bezwzględne sądy i niepotrzebny pesymizm nie wstrzymają napływu kobiet do uniwersytetów. Prawda, że pośród byłych studentek znajduje się grono wykolejonych, do których zaliczyć trzeba te, które bez odpowiednich zasobów wytrwałości i wiedzy wycieczkę na uniwersytet zakończyły rozczarowaniem i zniechęceniem, które się zawiodły w swych oczekiwaniach, które w nierozważnie obranej karyerze ustały w połowie drogi, które zdobywszy wiedzę, sterały siły, słowem wszystkie zwyciężone w walce z życiem, a nie mogące bez buntu wewnętrznego przyjąć doli, jaka im przypadła, ale dla tych wyjątków nie można obarczać kondemnatą ogółu i przez pryzmat osobistych niepowodzeń zapatrywać się na potrzeby całego społeczeństwa.

I gdyby nawet nie rzeczywisty pożytek, jaki społeczeństwu oddać mogą kobiety, przeszedłszy studya uniwersyteckie, ale tylko ambicya, ta choroba umysłów szlachetnych, jak ją nazywa Lubbock, była ostrogą ich dążeń, już byśmy przed ich zamiarem uchylić musieli czoła. Przegrana bywa nieraz zaszczytniejszą od zwycięztwa, a poniża tylko wtedy, gdy jest skutkiem upadku ducha.

Witold Leitgeber.

Z estrady i sceny.

(Dzień w redakcyi. Komedya w 1 akcie Z. Przybylskiego. — Pokój do wynajęcia. Komedya w 1 akcie p. Popławskiego i Golańskiego. — Zbójcy.)

W powodzi jednoaktowych utworów, osłaniających na przestrzeni ostatnich tygodni pustki repertuarowe w teatrze naszym, dwa tylko zaliczyć można do rubryki „nowości“: „Dzień w redakcyi“, Przybylskiego, i „Pokój do wynajęcia“, Popławskiego i Golańskiego. Pierwsza z wyżej wymienionych komedyi zajmuje niewątpliwie poczesne miejsce w szeregu drobniejszych fars i obrazków, któremi Przybylski scenę polską obdarzył; czerpał on tu wzory swoje z oficyn dziennikarskich Warszawy i dla tego redakcya jego ma tchnienie wielkomiejskiej atmosfery, ma ruch, gwar, typy i barwy takie, których miniaturowe zaledwie odbicie znaleźć można w naszych parafiańskich warsztatach prasowych. To też na publiczności poznańskiej wywierała komedyjka Przybylskiego nieco egzotyczne wrażenie, — lokalne aluzye i fotografje nie eksplodowały tutaj brawami i śmiechem, — lecz, mimo tej porcyi humoru, zatraconej gdzieś po drodze między Warszawą a Poznaniem, „Dzień w redakcyi“ posiada nieprzepartą *vis comica*, zapewniającą utworowi temu trwałe powodzenie na scenie. Oczywiście, jak w innych większych i mniejszych sztukach Przybylskiego, tak i tu w typach i sytuacyach znać gdzieniegdzie pędzel karykaturzysty, — ale, gdy w intencyach autora nie leżało bynajmniej tworzyć komedyi na Lessingowską modłę, lecz tylko garść śmiechu rzucić na deski, więc krotochwilowy zakrój utworu jest prawie niezbędnym — mianowicie w jednoaktowych ramach, — warunkiem powodzenia. Z artystów występujących zasługują na wyszczególnienie pp. Wojdałowicz i Berski w roli dwóch powaśnionych z sobą reporterów. Szkoda istotnie, że w karyerze scenicznej pierwszego z wymienionych aktorów nieszczęśliwe warunki zewnętrzne stały się przykrą zaporą, bo jest tam wielki zasób talentu charakterystycznego, jest znaczny materyał naturalnego humoru, ujętego sumienną pracą w formy artystyczne.

Drugą jednoaktową premierą sceny naszej jest „Pokój do wynajęcia“ Popławskiego i Golańskiego. Literacka ta spółka prezentuje się — jeżeli mnie pamięć nie zawodzi — po raz pierwszy publiczności poznańskiej, p. Popławski jednak znany jest u nas jako utalentowany aktor a równocześnie autor kilku przeróbek powieściowych wątpliwej wartości. Najświeższa komedya jego, stworzona w spółce z p. Golańskim, posiada bez kwestyi zalety sceniczne. Sytuacye dowcipne, zawikłanie zręczne, niektóre typy dobrze uchwycone, dyalog tylko nieco pospolity doprasza się o pewne amputacye i nieco błyskotek humoru. Gra artystów, a mianowicie p. Królikowskiej, odznaczała się gdzieniegdzie usterkami pamięciowej natury, wogóle jednak była prawidłową i wyrazistą. Wytworna elegancya i ruchliwość pani Jakubowskiej i pana Knapczyńskiego oraz naturalny humor pana Berskiego zjednały sobie uznanie bardzo nielicznie zebranej publiczności.

W ubiegłą niedzielę wznowiono na scenie naszej „Zbójców“ Szyllerowskich w nowej częściowo obsadzie. Dziwna to sztuka! Tak naiwna, tak artystycznie niedojrzała, tak psychologicznie nieuzasadniona, a mimo to wiek cały przetrwała, i kusząc największych artystów, oklaskiwana przez publiczność, gości na scenach europejskich. I więcej jeszcze. Współczesna krytyka powitała ją jednomyślnem potępieniem, lecz autor, niewzruszony protestem, tak ją gorąco ukochał, że w roku 1803 zabrał się do nowego dramatu p. t. „Narzeczona w żałobie“ czyli druga część „Zbójców“. Z utworu tego fragment tylko pozostał, ale inni pisarze niemieccy przerabiali temat Szyllerowski na tysiączne sposoby, że tylko wymienię Plümekego, który uprawdopodobnił sytuacye sztuki i charaktery a przez zręczne zmiany w układzie scen utwór w artystyczniejsze przyodział szaty.

I wśród protestów urzędowej krytyki publiczność grzmotem oklasków głuszyła sykania recenzentów. W czem tkwi ta magnetyczna siła młodzieńczego utworu? W efektownych rolach? — to za mało. Protest przeciw obłudzie i wyzyskowi, wspaniałe wyrównanie winy i kary, według zasad Arystotelesa — jednem słowem, etyczne jądro utworu w połączeniu z szekspirowską grozą, oto czarnoksięstwo zbójców, nęcące tłumy szerokie. A potem jest w tym utworze ów wiecznie młody rewolucyonizm, jest wielka apoteoza indywidualnej swobody, druzgocącej karby społeczne, tamy urzędowe, pęta konwencyonalne, — jest okrzyk „in tyrannos“ i kuszące uśmiechy Tytanizmu. To urok wiosenny, któremu serca gorętsze nie oprą się nigdy.

Franciszek Moor p. Królikowskiego stracił wiele na piękności swojej. Przed 10 laty rola ta należała do najlepszych w repertuarze utalentowanego lecz zapleśniałego na scenie naszej artysty. Dziś dusza z roli uciekła, została tylko zimna technika i forma. Natomiast rola Karola w interpretacyi p. Grabowieckiego zagrała gromem protestu i zgrzytem serdecznej ironii. Królikowski był wirtuozem, grał ale nie czuł, — Grabowiecki nie olśniewał efektami, gdzieniegdzie nawet raził pewnem niemowlęctwem rutyny, lecz swego Karola nosił w sercu, nie w gardle, oczach i rękach. Rolę Amalii powierzono p. Paszkowskiej. Trudno tę postać Szyllerowską w żywą zamienić istotę, bo martwą wydał ją na świat poeta. Gothe był malarzem kobiet, — Schiller mistrzem tylko wtedy, gdy męzkie typy wprowadzał na scenę. Jego Amalja to sentymentalny i słodkawy produkt fantazyi, zepsuty do szczętu w opracowaniu teatralnem, dokonanem w Mannheimie, a grasującem jeszcze bezustannie na scenach europejskich. Nic dziw więc, że artystka nasza zrezygnowała z Syzyfowej pracy, by ożywić to, co umarłem wyszło z warsztatu autora, nie dziw, że wszystkie starania skierowała wyłącznie ku wyzyskaniu deklamacyjnej strony niewdzięcznej roli. Usiłowania te uwieńczył pomyślny skutek. Prześliczny altowy głos p. Paszkowskiej zagrał muzyką subtelną i przejmującą. Więcej od Amalii wymagać nie można.

W. R.

Na Wyłomie.

(Dwa jubileusze.)

Świat literacko-dziennikarski rozpoczyna rok nowy podwójnym jubileuszem. Jeden rozegra się w Warszawie, drugi w Poznaniu, — jednemu imię: „Ćwierć wieku Ale-

ksandra Świętochowskiego“. drugiemu „Ćwierć wieku Franciszka Dobrowolskiego“. Dwa jubileusze, dwa głośne nazwiska, dwa typy, a w środku przepaść szeroka.

Aleksander Świętochowski! Widziałem go niedawno jeszcze. Twarz Chrystusowa i wzrok marzycielski; gdy mówi, oko wbija w punkt jeden, a słowa płyną w akcentach, jakby wpijać się chciały w umysł towarzysza. W godzinnej rozmowie nie zauważyłem ani razu tego zgrzytu ironii, w którym lubuje się mistrzowskie pióro wielkiego „Szydercy“. Jakiś wielki spokój i wielka wyrozumiałość unosiły się nad nim, lecz słowa jego miały twardość żelaza. Granitowa wola z nich biła, granitowe przekonanie i granitowa logika.

Przedziwny człowiek! Ćwierć wieku mija od chwili, gdy wstąpił w szranki dziennikarskie wśród śmiertelnych zapasów młodych pozytywistów z starymi romantykami. Błyskawice i pioruny miał ukryte w piórze, świecił niemi i druzgotał. A im zawzięciej trzepotało skrzydłami wojsko nietoperzy, im energiczniej wzywały pomsty niebios zwalone z piedestałów swoich sztuczne kolosy, on coraz zuchwalej słał grot po grocie w legion przeciwników i śmiał się tak, że śmiechem swoim. ostrym jak brzytwa, zabijał. Juvenal. Borne i Heine złożyli się na typ tego wielkiego polemisty. Pierwszorzędny talent stylowy, gruntowna wiedza filozoficzna, ideowy fanatyzm, fantazya bujna i bohaterska brawura podały tu sobie ręce, aby artykuły Świętochowskiego zamienić w tarany wolnej myśli i przez ruiny forteczne prowadzić wojsko „Młodych“ do zwycięstwa, a społeczeństwo na nowe tory życiowe. Talent Świętochowskiego nie posiada wstrząsającego humoru Prusa, ale wytwornością, głębokością i siłą Prus mu nie dorówna. Prus przekupuje talentem swoim, Świętochowski podbija. Cóż z tego, że ludzie mówią: Jednostronny! Pyszałek! Szyderca! Któż wyłom zrobił, kto wszystkich władz swego umysłu nie zestrzelił w punkt jeden? A wiara w siebie i bezwzględność pewna, którą wy pychą mienicie, czyż nie jest kardynalnym warunkiem tryumfu? W ideowych bojach chwiać się nie wolno i trzeba ufać sobie, a względy i względziki są tylko balastem. Potępiacie szyderstwo. Lecz w owej zatęchłej atmosferze starych przesądów, z któremi walczył Świętochowski, ten bicz ironii budził ospałych i płoszył fałsz, faryzeizm, ciemnotę. Bywają chwile, w których eksplodująca śmiechem petarda szyderstwa łatwiej roztrąca mur chiński, niż ciężkie młoty powagi. Bakonowski okrzyk „Wiedza to potęga“ i ten śmiech Juvenala wiodły do zwycięstwa. Były lata burzliwych zapasów, w których około redaktora „Prawdy“ skupiły się najwybitniejsze siły umysłowe, a lubo warunki polityczne zburzyły niejeden z dogmatów jego i przerzedziły szeregi wiernych, to zasiew ręką mistrza rzucony na warszawskim gruncie, dziś jeszcze wyrasta kwiatem postępu, wolnej myśli i dążeń humanitarnych. O filozoficznych i literackich utworach wielkiego publicysty pomówię na innem miejscu, tu tylko pragnę hołd złożyć jednemu z najwybitniejszych ludzi społeczeństwa polskiego, — hołd człowiekowi, który w zatęchłą atmosferę, poprzedzającą rok siedmdziesiąty, wprowadził ożywczy strumień powietrza, — hołd chorążemu postępu, który ćwierć wieku bronił placówki swojej i wstecz się nigdy nie cofnął, — hołd reformatorowi budzącemu do życia zdrętwiałe i zgangrenowane społeczeństwo, — hołd apostołowi wołającemu lud uśpiony haszyszem romantyzmu i pijany liljową esencyą sentymentalnych rojeń do nowych kościołów i nowych warsztatów, — do nowych wierzeń i nowego życia. A w końcu składam hołd temu, który w ćwierćwiekowem życiu, pełnem strzałów i wrzawy wojennej, żadnym dwuznacznym postępkiem rąk swoich nie zbrukał, za miskę soczewicy przekonań swoich nie sprzedał i szedł nieskalany, dumny, nieugięty po ciernistej drodze dziennikarskiej pracy.

Drugie słowo dzisiejszego feljetonu poświęcić mi wypada panu *Franciszkowi Dobrowolskiemu*. Czytelnikom naszym wiadomo, że stoimy na dwóch biegunach politycznych, na dwóch krańcach społecznych i etycznych dążeń — my z okrzykiem *Huttena:* „Ich habs gewagt“, — on z okrzykiem *Walküry*: „Ich lieg' und besitz'! Dziś jednak, w uroczystej chwili jubileuszu, my z zagonów ćwierćwiekowej działalności jego zbieramy w pierwszym rzędzie kwiaty do wieńca i czcimy w nim ruchliwego człowieka czynu, broniącego wytrwale polskich okopów. Gdy inni drzemali lub w karnawałowym wirze życie pędzili, on działał i rozproszone wojsko do walki gromadził. Gdy inni opuszczali placówki swoje, on zajmował jedne po drugich i kierował opróżnioną z kapitanów flotą. Tak wyrósł redaktor „Dziennika Pozn.“ do wyżyn dyktatora. Społeczeństwo dziś widzi jasno, że nie zawsze podołał ogromowi zadania, ale czci w nim siłę inicyatywy i gorącą miłość ojczyzny, która całe życie jego opromieniała. Około rozwoju dziennikarstwa i literatury sędziwy jubilat zasług nie położył, ale wyszedł po za ściany redakcyi, stanął na murach jako czujny i energiczny działacz społeczny i, jak przed kilku laty wyraził się poseł Józef Kościelski: „odegrał rolę szczupaka, który w nieruchomej sadzawce życia ospałe karpie do biegu poruszał.“ Może dzisiaj to wszystko, co w rękach pana Dobrowolskiego było czynem i życiem, zostało tylko firmą czynu i życia, może długa dyktatura wyrobiła w nim jednostronność absolutyzmu i gorączkową obawę rywalizacyi, może w splątanych stosunkach Księstwa, w zapasach o byt osobisty i władzę, nieraz krętemi chodził ścieżynami, lecz ten człowiek — przyznajemy to bez zastrzeżeń — chwytał nieraz oburącz za koła i w piasku zaryty wóz narodowy na bitą wyprowadzał drogę. My w panu Dobrowolskim czcimy człowieka czynu i człowieka przeszłości. Dziś przedstawiciel reakcyi, niegdyś szermierz liberalnych haseł i twarda opoka, o którą rozbijały się fale napływającego ultramontanizmu! Dziś brzoza, którą wiatry polityczne gną na wszystkie strony, niegdyś dąb, któremu burze szumiały w koronie, a on nieugięty stał i niezłamany. Ta przeszłość jubilata to najpiękniejszy kwiat w wieńcu jego zasług i tej przeszłości my hołd oddajemy.

A gdy dwa jubileusze święcić nam wypada, pokusa bierze zestawić raz jeszcze dwa głośne nazwiska.

Świętochowski, pierwszorzędny talent literacki, o dyamentowem piórze i twardych jak dyament przekonaniach, myśliciel zapatrzony w bóstwa ideowe i ćwierć wieku broniący progów świątyni swojej, posąg bronzowy i wytworny artysta, filozof i poeta, olśniewający dyalektyk i reformator wyciskający piętno na epoce swojej.

Dobrowolski, ruchliwy działacz narodowy i dyplomata o prowincyonalnym zakroju. Nie ukochany przez muzy, lecz owładnięty gorączką czynu. Zwycięzca w walce z ultramontanami, pukający po latach kilku do bram Canossy. Przedstawiciel protestu politycznego a później szermierz ugody. Nie króluje nad społeczeństwem umysłem, lecz zdobywa je energią i dyplomacyą. Pozbawiony szerszego grona przyjaciół i wielbicieli, lecz otoczony tłumem zawojowanych i wylękłych. Natura kompromisowa i zarazem samowładcza. Żadnego piętna ideowego na epoce swojej nie wycisnął, — pozostanie po nim jednak pamięć człowieka, który sztandaru narodowego bronił wytrwale, organizował społeczeństwo w rozlicznych kierunkach życia i lubo walczył uporczywie z demokratycznym rozwojem zaboru pruskiego, zaborowi temu oddał niezaprzeczone usługi w boju z germanizmem.

To też, wplatając mój listek do srebrnego wieńca dwóch jubilatów, z odmiennem do każdego z nich zbliżam się uczuciem. Przed *Aleksandrem Świętochowskim* uchylam czoło z tym pietyzmem, który budzi w duszy aureola wielkiego talentu, potęga idei i żelazny charakter. Panu *Dobrowolskiemu* oddaję pokłon człowieka, który nawet w przeciwniku politycznym umie cenić gorącą miłość ojczyzny, sprężystość publicznego działacza, zręczność prowincyonalnego dyplomaty i sztandar, któremu służył — w przeszłości.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **Nowe pismo.** W Poznaniu ukazał się pierwszy numer „tygodnika ilustrowanego dla wszystkich stanów“ p. t. „Wiadomości“. Numer okazowy, tak pod względem treści jak formy, skromnym tylko wymaganiom odpowiedzieć może.

* * *

* Nr. 2 lwowskiego dwutygodnika „**Ster**“ wyszedł i zawiera:

1. Kołaczcie, a będzie wam otworzone, przez Dulębiankę. 2. O zdolności kobiet do uogólnień, przez Piotra Chmielowskiego. 3: Ster, wiersz przez Sewerynę Duchińską. 4. Melancholicy, przez Romualdę Baudoin de Courtenay. 5. Z Przełomu, przez K. Zabrzezińską. 6. Z dalekiego świata, przez Janinę Rudzką. 7. Maszyna do pisania przez S. I. 8. Kursa ogrodnicze przez Turzymę. 9. Z hygieny gospodarczej przez Henryka Langa. 10. Kuchnie gazowe przez Lucynę Ćwierciakiewiczową. 11. Sprzwozdanie Delegacyi pracy kobiet w Warszawie przez J. Bojanowską. 12. Korespondencye: z Krakowa przez XIX. w. i z Warszawy. 13. Zapytania i odpowiedzi. Pani Zofii W. Jakie produkta znajdą najłatwiejszy zbyt w Hamburgu? przez T. Filipowicz. 14. Z dzisiejszej doby.

* * *

* **Trzej Fredrowie na scenie warszawskiej** W warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym“ czytamy: Bynajmniej nie dowodem dziedziczności talentu, ale raczej jego stopniowego osłabienia i zaniku, było przedstawienie, nazwane „fredrowskiem“, na warszawskiej scenie. Jeżeli „Zrzędność i przekora“ „starego“ Fredry, jako dzieło pierwszorzędnego natchnienia, perła czystej wody, pomimo ogrania przez wszyskie teatry amatorskie, wywarła i tym razem silne wrażenie, co prawda w świetnej grze pp. Rapackiego, Frenkla, Nowickiego i Trapszówny jeżeli Consilium Facultatis“ „młodego“ Fredry, pomimo, iż wykonanie pozostawiało wiele do życzenia, nasuwając ustawicznie myśl o stracie Żółkowskiego, niedającego się zastąpić w głównej roli nikim, lecz zawsze szczere jeszcze, wskutek niewyczerpanego szczerego humoru, bawiło widzów — to niewiadomo w myśl czego ujrzała światło teatralne „fraszka sceniczna“ p. t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, napisana przez „najmłodszego“ z Fredrów, hr. Andrzeja! Należałoby nareszcie zaprowadzić już jakąś ściślejszą kontrolę reżyserską, kwalifikowanych do wystawienia utworów... „Stowarzyszenie kobiet wyższych“ pod względem zarówno technicznym, jak założenia, dowodzi zupełnego braku powołania i dojrzałości do zawodu pisarza dramatycznego.

Chodzi tu (o ile się domyśleć można) o wyszydzenie kobiet z wyższem wykształceniem, korzystających z niego zawodowo, jako lekarz, adwokat i t. d. Otóż przedewszystkiem, autor jak gdyby nie wiedział,

że naokoło niego, we wszystkich społeczeństwach europejskich, kwestya kobieca jest pod tym względem najpoważniej w praktyce rozwiązaną, ma o kobiecie-lekarzu pojęcie, jak o karykaturze, która przy wykonywaniu swego zawodu na każdym kroku ośmieszać się musi, będąc jednocześnie jakiemś pretensyonalnem czupiradłem i dziwolągiem. Lecz gdyby „Stowarzyszenie“ było napisane nawet na początku wieku, w czasach, gdy jeszcze nie miało się przed oczyma przykładów kobiet pracujących zawodowo, to i w tym razie, oceniając rzecz tę z najpobłażliwszego choćby stanowiska artystycznego, trzebaby powiedzieć, że jest ona pracą dziecinną, nieusprawiedliwioną bieganiną po scenie, stekiem dyalogowanych nonsensów, z trywialnemi konceptami, napisanych językiem pospolitym, dyletanckim. Nic tu nie pomoże tytuł „fraszki“ scenicznej, nic tradycya wielkiego dziada i utalentowanego ojca. Nawet od fraszki w pewnych granicach wymaga się sensu i talentu a nazwisko właśnie obowięzuje: niewolno zmniejszać jego aureoli, łącząc je z nieudolnemi wypracowaniami. Nie uratowali chybionej tej rzeczy wykonawcy, panie: Ostrowska, Barszczewska i Junosza, pp. Rapacki, Wolski, Roland i inni, choć się o to z całych sił szczerze starali.

. . . .

* * *

* **Dumas o prawach kobiet.** Dumas zabierał niejednokrotnie głos w sprawie kobiecej, a jednem z ciekawszych jego odezwań się w tym względzie, jest list, jaki wystosował raz do p. Maryi Szeligi-Loevy, naszej rodaczki, a przewodniczki ruchu, dążącego do uzyskania praw politycznych dla kobiet we Francyi. List ten opiewa: „Zapatrywanie na prawa kobiety mam oddawna ustalone. Wypowiedziałem je w rozmaitych broszurach, jak „Femmes qui tuent“, „Femmes qui votent“ i „Récherche de la paternité“. Chciałbym, aby kobieta miała zupełnie te same prawa obywatelskie i polityczne, co mężczyzna, gdyż ma równe z nim obowiązki. Czyż kobiety nie płacą tak samo podatków, jak mężczyźni? — Czy nie nasyłają im tak samo egzekucyi, jeśli w opłacie zalegają? Skoro długów nie zwracają, komornego nie płacą, czy się im mebli nie zajmuje i nie sprzedaje? Jeśliby która z kobiet skradła w sklepie wstążki lub koronki, czyżby jej nie zaprowadzono na policyę i nie zamknięto do więzienia? Pomyślmy tylko: Joanna d'Arc nie mogłaby dziecka swojej sąsiadki zaciągnąć w merostwie do ksiąg metrycznych, nie mogłaby decydować o wyborze radnych miasta Domremy, a wszystko to w tej pięknej Francyi, którą ocaliła. Szczycimy się znakomitemi autorkami, jak pani de Sévigné, de Stael, Georges Sand, a nie dajemy im praw obywatelskich i politycznych, choćby na równi z ich lokajami. Młodej dziewczynie każemy tak samo się uczyć, jak chłopcu tworzymy kosztowne licea, gdzie kobiety są profesorkami z zadaniem szerzenia światła i prawdy, mówić o wszystkich możliwych historycznych, ekonomicznych, politycznych i naukowych kwestyach, ale w dniu, kiedy mogłyby dowieść postępu swego umysłowego, w dzień wyborów, kiedy rozgrywają się sprawy kraju, którego dzieje tak dobrze znają, prosi się je, aby zostały w domu, ale za to stróż ich domu idzie głosować! Sentymentalni trubadurowie twierdzą, że to nowe prawo ujęłoby wiele wdzięku kobietom, tak jak gdyby za to bicykl robił je wdzięcznemi. „Ależ pan zapominasz o tem — mówią mi rozmaici t. zw. poważni ludzie — że kobiety są wolne od służby wojskowej“ Tak, ale nie są wolne od wydawania na świat dzieci, bez których wojnyby nie było, coby było zresztą najlepszem. Muszą je przez dziewięć miesięcy nosić, wydawać na świat w okropnych boleściach, karmić, pielęgnować, latami wychowywać, przechodzić wszelkie bole świata, kiedy im je potem odbierają, aby wysłać w szeregach gdzieś na granicę, albo po za nią. Wszystkie argumenta, które się na to przytacza, są pozostałościami prawa rzymskiego, które musi ustąpić prawu natury. Czyż nie jest kobieta istotą myślącą i działającą, równego pochodzenia i prócz drobnych szczegółów równej postaci z mężczyzną? Czyż sami nie podnosimy jej do wyżyn uświęconej istoty w roli matki, żony, dziewicy? Czyż nie nałożono na jej barki równych obowiązków co mężczyźnie, a w niektórych razach większej odpowiedzialności? A w takim razie uznajmy ją obywatelką, politycznie równouprawnioną z mężczyzną. A co się tyczy jej społecznej i moralnej równości z nami, o to się nie troszczmy, ona sama się o nie postara, a wobec tempa, jakiem rzeczy postępują, niedługo to będzie trwało. Kompletnymi głupcami (bien fous) są ci, którzy domagając się wolności dla mężczyzny, nie przewidywali, że będą musieli ją dać i kobietom.“

* * *

* **O ruchu księgarskim** w Rosyi znajdujemy w danych statystycznych, publikowanych przez Pawlenkowa, co do r. 1894 niektóre interesujące szczegóły. Ogółem ukazało się w Rosyi w roku sprawozdawczym 10,651 dzieł, 32,2 milionów egzemplarzy; z tej liczby w ruskim języku 8,662 wydawnictw o 25 mil. egzemplarzy. Z innych języków najwięcej dzieł wyszło: w języku polskim — 894 dzieł w 2,45 mil. egz., w niemieckim — 315 w 493 tys. egz., w łotewskim — 219 dzieł. 737 tys. egz., w estońskim 172 dzieł, 674 tys. egz., w ormiańskim — 124 dzieł, 153 tys. egz., w językach francuzkim i arabskim mniej niż 100 dzieł, w językach łacińskim, greckim, angielskim i tureckim nieznaczna ilość; w języku chińskim, fińskim, czeskim i szwedzkim zaledwie pojedyńcze dzieła. Co do przeciętnej cyfry nakładu książki, przypada 8,1 tysięcy na dzieła dla ludu, 8 tysięcy na dzieła religijne, 7,9 tys. na książki dla dzieci, 7.4 tys. na wydania informacyjne, blizko 4 tys. na beletrystykę, blizko 2 tys. na dzieła agronomiczne: dzieła przyrodnicze wydawane są przeciętnie w 1,600 egz., pedagogiczne — przeszło 1500 egz., medyczne i prawnicze — około 1400, filozoficzne — 1300, historyczne i ekonomiczne — 1200, statystyczne mniej niż 600 egz. W roku 1894 w ruchu księgarskim przyjęły udział drukarnie 164 miast. Przeszło 3500 publikacyi wyszło z drukarni Petersburga, przeszło 2500 z drukarni Mos-kwy, przeszło 1290 z Warszawy. Prowincya wydrukowała zaledwie $^1/_{15}$ część z całej ilości egzempiarzy.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. We Francyi mnożą sie protesty przeciw urządzeniu w r. 1900 wystawy wszechświatowej. — Dochody cesarstwa niemieckiego w czasie od 1. kwietnia do końca listopada b. r. przedstawiają sie jak następuje: Cła przyniosły 277,398,641 marek (w stosunku do zeszłego roku w tym samym okrsie + 13,903,239 m.); podatek od tytuniu 6,985,335 marek (+ 349,460 m.); podatek od cukru 55,895,743 marek (— 1,078,087); podatek od soli 30,101,022 (+ 503,964); podatek od wódki 83,691,023 (— 4,181,305); podatek od paliwa 298,592 (+ 298,592); podatek od browarów 18,739,077 (+ 1,223,427); podatek przejściowy od piwa 2,432,900 (+ 59,593); razem 475,542,333 marek (+ 11.078,883 marek). Podatek stemplowy: a) od papierów wartościowych 9,899,557 marek (+ 4,244,106); b) od rozmaitych interesów kupieckich i t. p. 14 639,043 (+ 4,766,120); c) podatek od loteryi prywatnych 2,457,147 (+ 973,720); podatek od loteryi państwowych 9,299,888 (+ 3,970,739); podatek od kart 850,627 m. (+ 12,714); podatek od weksli 5,742,227 (+ 274,732); administracya kolei cesarskich miała dochodu 46,108,000 marek (+ 2,842,000 marek). — Wnioski postawione w parlamencie niemieckim przez konserwatywnych posłow dra. Kropatschka i Jacobsköttera, brzmią jak następuje: Parlament zechce uchwalić, aby prosić kanclerza, iżby parlamentowi przedłożył jak najprędzej ustawy, któreby: 1) pozwoliły na samodzielne prowadzenie rzemiosła w razie okazania wykazu uzdolnienia; 2) zakazywały zupełnie wędrownych składów i aukcyi; 3) zmieniły § 100 c ordynacyi procederowej w tym kierunku, iż zaznaczone w nim przywileje cechów mają przysługiwać tylko, w obec pracodawców, którzy sami przyjęci być nie mogą do cechu; 4) określały, że przywileje z §§ 100 e i 100 f przy dopuszczeniach jakiegoś cechu wtenczas tylko mają być udzielane, jeżeli cech łączy w sobie większość samodzielnych rzemieślników swego obwodu; 5) przepisywały, że przy określaniu wszelkiego interesu kupieckiego lub przemysłowego musi być widoczne imię i nazwisko właściciela; 6) zagrażały karą temu, kto po stwierdzonej niewypłacalności zawiera interesa na kredyt, nie zawiadomiwszy o tem drugiej strony. — Wojna Włochów z Abisyńczykami wre w dalszym ciągu. Abisyńczycy oblegają twierdzę Makalle. Rząd włoski wysłał dwa parowce z posiłkami.

Teatr i muzyka. Dziś w sobotę ukaże sie na scenie poznańskiej wesoła farsa Niobe W roli tytułowej wystąpi p. V e r n o n. — W poniedziałek 30 bm. odbędzie się na sali Lamberta w Poznaniu koncert Sokołów z współudziałem artystów dram. teatru poznańskiego. Program jak zwykle, odznacza się doborową i barwną treścią. — W warszawskim „Teatrze Rozmaitości“ wystawiono nową jednoaktówkę E. Lubowskiego p. t. „Dzień wigilii“; W teatrze Małym ukaże się krotochwila Fredry (ojca) „Nowy don Kiszot“ z muzyką Noskowskiego. — Autor i artysta dram. teatru lwowskiego p. Ruszkowski napisał nową sztukę p t. „Jadzia“. Rodaczka nasza p. Marya Kozłowska zaangażowaną została do teatru „La Scala“; W operze hamburskiej występuje lwowianka p. Emma Raabe. — Baśń dramatyczną Sarneckiego p. t „Szklana góra“ wystawiono z wielkiem powodzeniem w Krakowie. Nowości teatru niemieckiego: Laona i Waldberga „Wyścigi“, Langenscheidta „Wystawa“, Trützschlera i Frieslera „Narzeczona z manewrów“. — Nowości repertuaru francuskiego: Bisson i Carre „Pan radzca ministeryalny“, dramat „Fils d'Avetin“

Z prośbą o umieszczenie odbieramy pismo następujące:

„Do Czytelników Pobudki do szerzenia wstrzemięźliwości.

W grudniowym numerze „P o b u d k i“ pożegnałem się z Wami, łaskawi czytelnicy, postanowiwszy zawiesić wydawnictwo z powodu małej liczby prenumeratów i niedostatecznego przez ogół poparcia. W tymże numerze wyraziłem życzenie, aby kto inny zechciał podjąć rozpoczętą przezemnie pracę i zechciał „Pobudkę“ nadal wydawać.

Życzenie to ziściło się. Pan K a r o l M i a r k a, księgarz i wydawca w Mikołowie na Szlązku, oświadczył gotowość wydawania nadal „Pobudki“ swoim nakładem, na co się chętnie zgodziłem.

„Pobudka“ przeto i nadal wychodzić będzie i to w dotychczasowych warunkach. Prócz tego dodawana będzie jako bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Rodzinnego“, wydawanego przez p. Miarkę, a rozchodzącego się w kilku tysiącach egzemplarzy. Sprawa wstrzemięźliwości wiele na tem zyska, gdyż wpływ „Pobudki“ będzie przez to mógł szersze zakreślać koła.

Zatrzymując nadal redakcyę „Pobudki“ upraszam dotychczasowych czytelników i wszystkich zwolenników wstrzemięźliwości o popieranie wydawnictwa czy to prenumeratą czy współpracownictwem.

Wszelkie listy tyczące się spraw redakcyjnych upraszam przesyłać pod moim adresem (dr. Celichowski w Kórniku w W. Ks. Poznańskiem), listy zaś odnoszące się do ekspedycyi pod adresem: p. K. Miarka w Mikołowie (Nicolai O. S.)

Kórnik, dnia 24 grudnia 1895.

Dr. Z. C e l i c h o w s k i.

Odpowiedzi Redakcyi.

C...., jeden z abonentów, człowiek nie-pióra. Prosimy czytać uważnie między wierszami, a odkryje pan klucz zagadki i cofnie zarzuty swoje. Prokurator stoi za drzwiami, więc czasem trzeba pisać w domyślnikach ironicznych.

Z. T. Wiersz nadesłany posiada niewątpliwie cechy talentu literackiego, — forma jednak razi gdzieniegdzie pospolitością.

W. M. Coraz lepiej. Styl wytworniejszy niż w poprzednich utworach i analiza psychologiczna staranniejsza, nie dość jednak pogłębiona. Takie drobne obrazki wymagają wielkiej subtelności. Semper avanti!

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.